

N0087_kr_FINAL_1_3

Wiesław Stypuła: Nazywam się Wiesław Stypuła, to już się przedstawiłem przedtem. Urodziłem się w 1931 roku, 18 lutego w Równem, na Wołyniu. Właściwie nie urodziłem się w Równem, ale mieszkali, bo wtedy mieszkaliśmy na strażnicy, na granicy. Ojciec był w KOP-ie wtedy i tam się urodziliśmy, chociaż de facto, w szpitalu w Równem, ale mieszkaliśmy wtedy właśnie na samej granicy. Moja rodzina jest, mój tata pochodzi z Podhala, mama była Kujawianką i mam jeszcze brata starszego o dwa lata, Ryszarda. Powiem dwa słowa o ojcu, bo to jest istotna sprawa. Ojciec w wieku lat 17-18 na Podhalu w Tarnawie Dolnej, bo tam się urodził, organizował taką młodzieżową organizację wojskową, to było w roku 1917 mniej więcej, był młodym chłopcem, 17 lat miał wtedy i oni przygotowywali się jakby do wstąpienia do wojska i miał tam... 18... I oczekiwali jakby na hasło, co mają dalej robić, ta grupa tych chłopców, którymi ojciec, nazwijmy to, przewodził w tej organizacji. I otrzymał ojciec powołanie. Zgłosił się, właściwie nie powołanie, bo on się zgłosił na ochotnika, nie miał jeszcze 18 lat, pojechał do Krakowa. Tam złożył przysięgę i wstąpił do chyba 4. Pułku Legionów. I jako 18-letni chłopiec, bo w międzyczasie skończył 18 lat, wyruszył na front. Walczył, zresztą tak co się mówiło wtedy, w obronie Lwowa, na tym odcinku, tam ojciec toczył swoje boje. Był bardzo dzielnym chłopcem, w każdym bądź razie i tam się zasłużył. Otrzymał Krzyż Walecznych za taki czyn, po jakimś szturmie, zgłosił się na ochotnika do leżącego rannego na przedpolu, ostrzeliwanym przedpolu, czołgał się do niego, żeby go tam uratować. I za ten czyn został odznaczony Krzyżem Walecznych. Skończyła się wojna. I był dwukrotnie ranny. Raz ciężko ranny, ale wracał potem do wojska dalej na front. Skończyła się wojna, ojciec wstąpił do KOP-u i został tam skierowany, tam mieszkał. Potem ożenił się z moją mamą, spotkali się, no i tam myśmy się pojawili na świecie. To tak w skrócie syntetycznie od ojca. Ten krótki pobyt tam na granicy, to jest miejscowość Kobylia, na samej granicy, gdzie była ta strażnica, po paru latach, jak troszkę tam żeśmy pobyli, parę tam, ze trzy lata, to są moje najwcześniejsze wspomnienia, kiedy tam właśnie byłem wtedy, miałem 2-3 latka, ale mam tam kilka wspomnień osobistych takich prywatnych, które tam, mój pies, wielki pies Aredo, który tam był, zresztą on służył tam w wojsku też, tym chłopcom, którzy tam chodzili na różnego rodzaju, nazwijmy to te ich obowiązkowe służby, które tam pełnili. I dla mnie to było wtedy takie wielkie przeżycie, kiedy musieliśmy się rozstać, bo przyjechaliśmy do Hoszczy, takie miasteczko na Wołyniu, gdzie był już wyższy stopień KOP-u, tam zresztą był garnizon. I tam byliśmy przez pewien czas, dwa-trzy lata. Takie małe miasteczko. W większości zresztą zamieszkałe przez ludność żydowską. To byli Polacy, ale byli też i Czesi tam w tym miasteczku i tak dalej. To był krótki pobyt. Dalej żeśmy... Ojciec, ponieważ już miał, te rany mu się odezwały, został potem przeniesiony do komendy powiatowej policji w Równem. To już był 1937 rok. Tam ojciec zaczął budować swój dom, wziął pożyczkę i zaczęło się nasze życie. Ja

przyjechałem wtedy oczywiście do Równego i już wtedy, kiedy kończyła się tam budowa tego domu, zresztą ojciec sam potrafił wiele rzeczy zrobić tak, że tam on, że tak powiem, do pracy zawsze sobie tam w tym, przy tej budowie pracował. I teraz skrótowno, ja poszedłem do pierwszej klasy szkoły powszechnej, ukończyłem, zdałem do drugiej, wybuchła wojna, 17 września, ojciec przyszedł do nas jak zawsze codziennie, jak chodził do pracy, więc zawsze odwracał się do nas, do chłopców i żegnał się z nami, mówił: "Cześć chłopcy. Idę do pracy". I 17 września w 1939 roku tak samo zrobił, to mimo że już wojska rosyjskie [sowieckie] wkroczyły tam do Równego, przyjechały takie tankietki, ale ojciec normalnie poszedł do pracy i to było niestety nasze ostatnie spotkanie z ojcem. Ojciec został potem... Już straciliśmy z nim kontakt i dopiero po kilkadziesiąt lat odnaleźliśmy jego nazwisko na listach zbrodni katyńskiej. Następnie Rosjanie zostali, no, zaczęli się tam rządzić w mieście i tak dalej. Ponieważ tam nie było hoteli i tak dalej, a przyjeżdżało dużo administracji, więc zajmowali prywatne mieszkanie i do nas, w naszym mieszkaniu też jeden z pracowników rosyjskich [sowieckich] tam, którzy byli zarekwirował nam jeden pokój i ten największy nasz piękny pokój taki urządzony, i on tam, że tak powiem mieszkał u nas. Zresztą o tyle to było ciekawe, że miał takie nazwisko polskie, Stodulski. Stodulski Arkusza. Arkusza, piękne imię. Arkusza pochodził z Odessy. I mimo wszystko, że on mieszkał, nic specjalnie nie mieliśmy z nim kłopotów. On przychodził do pracy, czasem kazał sobie tam coś podać, jakąś herbatę czy coś takiego. I wszystko było fajnie do momentu 13 kwietnia. Znacząco fajnie, tak jak było w tamtym okresie, w tych warunkach, bo nie wspominam o tych bombardowaniach, jeszcze jak były w czasie jeszcze przed wkroczeniem wojsk i tak dalej, ale to są już takie mniej ważne rzeczy. 13 kwietnia w nocy przyszło tam kilku żołnierzy, tam przyjechało takim samochodem i nas, że tak powiem, zaczęli stukać, dobijać się, tak normalnie, jak to u wszystkich bywało w nocy oczywiście, nad ranem. I mama strasznie rozdygotana, co mogła to zabrała jakieś..., parę..., a ci ciągle pospieszali i tak dalej, i tam... I kazali nam wsiadać na taki samochód, przepełniony był, już tam parę osób czy kilkanaście już osób było ze swoimi rzeczami. Mama tam niewiele mogła, bo była tak zdenerwowana, płakała ciągle, nie wiedziała, co z nami będzie, a tego Rosjanina nie było w tym czasie, jak... I dopiero później, po paru latach dowiedzieliśmy się, że ten Rosjanin prawdopodobnie był enkawudzistą, który dokonał, że tak powiem, aneksji po naszym wyprowadzeniu się. Zajął cały nasz dom, tam były dwa mieszkania niezależne obok, taki jakby dwojaczek, cały ten dom zajął i sprowadził swoją rodzinę, i tam sobie mieszkał. A najciekawsze, dlaczego wspominam o tym, bo na tym dowodzie, który mama dostała w czasie naszej wysyłki, który zresztą tam w IPN-ie znajduje się, jest jego nazwisko, które on podpisał naszą wysyłkę, na tym dokumencie jest jego nazwisko osobiste. Tak że to taka jest, powiedziałem, polskie nazwisko, ale nie powiem, że on nam coś dokuczał. Nie, mamie i tak dalej nie. Nawet pewnego rodzaju mieliśmy jakby osłonę, że ktoś tutaj jest

oficjalnie, że nam tutaj. Ale okazało się, że tak to się zakończyło. I na tym dowodzie jest jego nazwisko właśnie podpisane. I dalej ten dowód został sfałszowany o tyle, że nam spisali parę rzeczy, że to wszystko stare, parę rzeczy tam jakichś wymienionych jest i to jest, takie, ale to dowiedzieliśmy o tym dużo później. Ale kończę na tym temat. Zostaliśmy tam zawiezieni do szkoły, bo tam był taki [punkt zbiorczy], gdzie wysyłano wszystkich zbierano, a potem, jak już tam pod koniec dnia, przyjechały samochody i zabrały nas do Zdołbunowa, gdzie była prawdopodobnie szeroka linia [kolejowa, szerokie tory], tam do Rosji, bo w Równem chyba tam nie było, zdaje się, tej szerokiej linii. Tak mi się wydaje. I tam nas załadowano do pociągu, tak jak normalnie wszyscy tam, kilkadziesiąt osób do jednego wagonu towarowego. Tam wszystko, to nie będę opisywał, bo to się powtarza. Nie było tam ubikacji, okna nie było, tylko maleńkie takie okieneczko wentylacyjne gdzieś tam na górze zakratowane, które zresztą wszyscy zamykali, bo zimno, chłodno było, więc nawet te maleńkie. Tak że myśmy tam w półmroku siedzieli cały czas. I jazdy nie będę wspominał, bo to już są szczegóły, tam dużo, trudne. Taki był jeden przypadek, że w czasie tam jakiegoś postoju, to może tylko opowiem taki, kiedy tam jeden z chłopców w czasie postoju, ale już jak byliśmy w Rosji, wyskoczył, bo tam taki zobaczyli, jakiś stał wagon z jakimiś tam burakami czy raczej chyba cukrowymi, nie wiem, bo tam był... I on wtedy tam trochę przyniósł, bo nam tam dawano tylko, przynoszono tam wiadro pseudo zupy z jakąś kaszą czy coś takiego i to całe wiadro tam na ten wagon nasz tam, co to miało. A z tym, że najgorsze było to, że myśmy nie mieli żadnych sztućców. Tam jeden czy tam parę miało łyżek, jakiś nóż ktoś tam miał i tak dalej. Ale to już ich tam nie obchodziło. To oczywiście musieliśmy się tak z tym... Ja tak powiedziałem, że ten chłopak chciał, bo byliśmy głodni. Tam wszyscy głodowali. Pomijam tam, jaka była sytuacja, tam płakali i tak dalej, to jest normalna sprawa. To była większość, może tu wspomnę, że 13 kwietnia w zasadzie to była zsyłka właśnie większości ludzi, którzy byli aresztowani, tak jak mój ojciec. Czy wojskowi, czy tam cywile, czy tam z innych służb. To było tego rodzaju. Tak że tam większość były same kobiety z dziećmi praktycznie, albo starsi jacyś tam dziadkowie, czy ten, to byli też zaaresztowani. W tym wagonie byli w większości tam Polacy, było parę jakichś pochodzenia żydowskiego, było tam parę osób i chyba, i była jedna rodzina ukraińska. Takich zresztą trzech chłopców tam... Ale też nie wiemy, z jakiego powodu byli w tym wagonie, ale 90% to tam byli Polacy. Jechaliśmy tam te parę tych tygodni, oczywiście w coraz gorszym stanie. Najgorszym był oczywiście, dla mnie przeżycie to było takie, że..., bo do tego półmroku i tak dalej, to jakoś trzeba było przyzwyczaić się, to dwie rzeczy. Ponieważ to były stare wagony, tak rozklekotane i te wagony, na każdym jakimś zakręcie czy na jakimś hamowaniu zaczęły tak na boki rzucać i ja się bałem, strasznie się bałem tego, że wylecimy z tych szyn. To był moje takie, pamiętam, straszne przeżycie. I druga sprawa to były takie sprawy fizjologiczne w wagonie. Tam nie było żadnego pomieszczenia. Była

tylko dziura tam taka w tej podłodze. Jakiś tam super parawan podstawiano, ale tam nie było z czego zrobić, więc to tak nam to wszystko, to było straszne. I zaduch, ten zaduch, który tam... Ten ponury, to... Ale to powtarza się, tak jak w tych wszystkich. Myśmy jechali jakieś trzy tygodnie, przejechaliśmy tam prawdopodobnie przez Moskwę do linii transsyberyjskiej za Ural, już na Syberię. Oczywiście myśmy nie wiedzieli, gdzie jesteśmy. Zatrzymaliśmy się na takim miasteczku Bułajewo, na tej transsyberyjskiej linii. To jest między Petropawłowskiem, ale tym wschodnim, bo są dwa Petropawłowskie w Rosji, w tym wschodnim i omskim. To jest mniej więcej centrum euroazjatyckiego kontynentu, mniej więcej. Wszędzie stamtąd było, potem się dowiedzieliśmy, wszędzie było daleko. I stamtąd uciec nie można było nigdzie, bo najbliższej do cywilizacji to było może, ja wiem, 4-5 tysięcy kilometrów. Więc oczywiście tajga, okazało się, że to była bagnista tajga. Słaba zamieszkała, tam nie było dróg, nie było żadnych urządzeń. Załadowano nas w takie małe samochodziki, powieziono właśnie w tę tajgę. Nie było tam dróg, tylko takie leśne jakieś tam drogi i ileś tam, nie wiem, kilometrów, kilkadziesiąt kilometrów gdzieś tam na północ wygruzono nas tam i tak stopniowo po kilka osób w różnych miejscach tam gdzieś oni wysiedlali. Nasze wsi takiej Biereznaki. Było tam parę rodzin. To znaczy było nas troje. Była pani Piankowa, która miała chyba piątkę dzieci, takich młodszych jeszcze od... Taki w moim wieku jeden był chłopczyk, a ten jeden najmłodszy to wkrótce zmarł, taki bardzo mały. Jeszcze było jakichś dwoje, ale nie pamiętam dokładnie. Zresztą brat też jakoś, takich dwoje nastolatków, ale potem nie wiem, chyba nie byli początkowo i potem gdzieś, nie wiem, gdzieś tam czy uciekli, czy prze... Nie wiem, czy ich tam przeniesiono. Nie mam pojęcia. Zatrzymał się nasz ten samochód przed jakimś tam domem. To tam syberyjskie domy to wiemy, jakie są. Wyszedł tam taki stary człowiek, Juhim, no i władza każe, kazali nam do niego, żebyśmy tam się do niego, że tak powiem, wpakowali. On tam kiwał głową, coś tego, ale nie był wrogo nastawiony. Władza każe, to... To był taki w zasadzie, tak jak tam na Syberii były te domy, w tamtej okolicy, to były takie domy w zasadzie jednoizbowe, to była kuchnia, taka duża kuchnia z piecką tam i tak dalej, tu się całe życie skupiało i był taki mały magazynek pseudo, taki jakby taki mały super pokój tam obok. To nas tam, jakoś tam do tego małego takiego z rzeczami, różnymi gratami i tak dalej, takie jedno łóżko ledwo co trzymające się, bo oni spali tam, raczej większość na tej pieczce tam, bo jak zima, to tam na pieczce, tam dziadek i tam po kilkoro tego rodzeństwa. Tyle, dlaczego nas tam do niego wsadzili, bo tak się stało, że ten jego syn, z którym myśmy byli w tym mieszkaniu został wzięty do wojska i zginął na froncie fińskim. Tam była wojna fińsko-rosyjska [-radziecka], więc tam jedna osoba się zwolniła, więc nas tam w trójkę do tego domu. I tak żeśmy tam zaczęli nasze urzędowanie. A to potem się okazało, że tam nie było niczego, dosłownie niczego. Tam nie było światła, nie było elektryczności, nie było oczywiście wodociągów, wody, nie było żadnych sklepów oczywiście. To była maleńka wioska, z

której ludność utrzymywała się, były małe tam poletka jakieś tam śródleśne takie, a oprócz tego były prace w lesie przy wyrębie drzew. Ale kto nie robotajet, nie kuszajet. Mama musiała iść do pracy. Zaczęła się tam właśnie praca w lesie przy wycinaniu drzew. Mama nigdy nie miała w ręku... Zresztą była drobnej postury, słabiutka, ale to była taka praca, którą oni tam... Zwłaszcza to ten precydaciel, ten przełożony tego kołchozu, to on był bardzo wrogo do nas nastawiony, bo ci ludzie, tamci nie, oni... Trzeba to trzeba tam, nadzorowali nas, nie byli do nas negatywnie bardzo nastawieni, poza tym oczywiście precydacielem i tam jeszcze jedna osób była taka partyjna prawdopodobnie, którzy oni nas tak, że tu będziecie na zawsze, tu jest wasze miejsce i koniec. A myśmy przecież nie wiedzieli gdzie. To jako dzieci to w ogóle nie zdawaliśmy sobie, a mama co przeżywała, to tragicznie, bo nie wiedziała, gdzie się znajduje i w takich warunkach nagle. Potem ta pierwsza noc to była najtragiczniejsza dla nas, bo myśmy spali we trójkę w tym jednym takim rozwalającym się takim jakby łóżku i potem w nocy zaatakowały nas tam pluskwy, straszne pluskwy, tam był ten i wszy tam się... Wszy to już zaczęły się, bo praktycznie już jak w czasie podróży nawet zaczęły, ale to były jeszcze... I tak zaczęła się nasza przygoda. I tam nasze stosunki z tym Juhimem i jego tam córką, znaczy tą żoną jego syna, i tam był Kolka, taki chłopak w wieku brata mniej więcej, i on zresztą, powiem, że on nas wprowadzał w tajgę, bo tam w tajdze byśmy sobie nie dali rady. Tam tajga bagnista to jest nie do przebycia praktycznie, jeżeli się nie zna tego terenu, więc tam trzeba było wiedzieć, gdzie można wejść, którędy, gdzie są jakieś ścieżki, gdzie tam którędy, żeby tam gdzieś nie zabłądzić. Zresztą tam nie było żadnych drogowskazów, nic, ale ten chłopak, który tam się urodził i znał tam te wszystkie okolice, on nas tak, że tak powiem, tam był w stosunku do nas pozytywnie ustosunkowany. Tam nie pytali się za wiele. Mama oczywiście, pracując tam, sprzedawała swoje rzeczy, które miała. Niedużo tam miała, ale sprzedawała tamtej. Bo jak wyglądała wioska, znaczy ten dom, dom, pieczka ta, wiadomo, to jest piec do pieczenia chleba i tak dalej, tam do gotowania. Ponieważ tam nie było sklepów, nie było żadnych, więc ciągle na tym się żarzył, bo trzeba było ten zapalać ten, więc oni na ogół tak sobie robili, że na tej pieczce zawsze się tliło coś tam i to potem od tego się dalej potem dokładało. Do oświetlenia tylko były takie łojowe ogarki, takie, które tam tylko były, bo nie było tam światła. Woda była bardzo niedobra, jakaś taka zażelaziona czy coś, tak odpływały takie tłuste plamy tam gdzieś i tak dalej. Nie wiem, czy oni tam szukali czegoś tam, czy tej ropy, czy tam czegoś, nie wiem, czy gazu. W każdym bądź razie te tereny to takie jeziorkowate to wszystkie pływały. Tam była jedna większa studnia, ale to była głęboka, oni tam brali z tego wodę. Tak że to tak. W domu były, w tym domu były jeszcze żarna do mielenia zboża, te ręczne na kamieniach takich, w każdym praktycznie domu to było, bo kontaktu z miastem praktycznie w ogóle nie mieliśmy. Oni... Nie tylko my, ale w ogóle ci ludzie, bo oni nie posiadali żadnego... W każdym bądź razie to były te żarna. Było krosno, takie

prymitywne krosna, które oni sobie tam tkali i oni w większości w samodziałach chodzili, tak że te rzeczy, które mama przywiozła, to dla nich były wielką frajdą, dla kobiet tam, które... Tam niektóre miały coś nie coś czas, ale w zasadzie wszyscy w większości chodzili w samodziałach. I był też kowal, tym, którym oni tam sobie przędli na tym i to takie było wyposażenie. Więc tak jakbyśmy się cofnęli o jakieś sto lat do tyłu, gdzieś tam jakoś tak, tak jak w polskich warunkach, gdzieś tam, czy sto, czy... Więc szans dla nas, no, jako dzieci to oczywiście cierpieliśmy głód i tak dalej. Chociaż nam ta rodzina czasem tam pomagała, bo ona od mamy tam dostawała troszkę te rzeczy, jakieś tam mama, tak że nam trochę czasem pomogła. Ale nie byliśmy przygotowani od strony ubioru, bo myśmy pojechali, to była niby wiosna, ale myśmy pojechali w ciuchach letnich takich, półletnich takich ubiorach, taki jakiś paltocik, i butów nie mieliśmy tam. Oczywiście na początku to było lato, to jeszcze nie było problemu, jeszcze mieliśmy swoje buciczki, każdy miał z nas, ale potem przyszła zima, to już koniec, nie mieliśmy ubioru żadnego do ubierania. A zwłaszcza butów, w końcu już Juhim podarował takie stare, wytarte walonki, to tam myśmy się tak czasem mogli sobie, żeby wyjść na śnieg, ale zima tam to wiadomo, jaka zima, to tam się zaczyna praktycznie w październiku albo może wcześniej czasem, różnie. Albo czasem nawet we wrześniu, ale tam to pamiętam, gdzieś w połowie października, to były silne mrozy i tak dalej. I taka wegetacja. I myśmy tam, no... Ja sobie wyobrażam, jak mama to przeżywała, bo nie wiedziała, gdzie my jesteśmy. On nam powiedział, że tu na zawsze i koniec, i tu jest wasze miejsce, będziecie tu mieszkać. I jakoś przetrwaliśmy tę zimę. Ale już, pomijam tam różne przypadki takie, ale jeden, który najbardziej tragiczny tam dla mnie, to było to, że mnie pies pogryzł. Taki wielki rosyjski, tam zerwał się z łańcucha, pogryzł. Mam takie jeszcze szramy, to jest jedna taka, drugie tutaj, które mnie... I ja zacząłem kuleć na jedną nogę, i groziła mi... Nie było żadnych środków opatrunkowych. Zresztą oni też tam sami nie używali, bo oni tam jakoś przekładali tam matkę, czy co tam oni mogli tam z tej wsi tam, czy tam jak tam swojej tam tradycji coś tam, oni tam, bo tam nie było... Nikt tam nie przyjeżdżał z miasta, więc to nie było żadnego kontaktu praktycznie. Tylko czasem procedaciel tam może pojechał do miasta, ale tak to oni tam nie potrzebowali nigdzie, bo nie mieli pieniędzy, bo tam nie płacono im, tylko jeżeli wypracowali dniówki jakieś tam w tej pracy, to dostawali trochę tam zboża czy czegoś... A te zboża to oni sobie na tych żarnach tam mełli, zrobili coś w rodzaju tam mąki czy kaszy takiej grubej, coś takiego. Zresztą myśmy z bratem też żarna takie ciężkie we dwójkę starali się skończyć dla swojego użytku, ale tak było. Tak że to było, takie to życie nagle stało się nasze. Nie będę dalej opisywał tych wszystkich innych tam rzeczy, jakie tam były trudne. W każdym bądź razie myśmy uciekli z tego. Nam nie powiedziano, że była amnestia tak zwana. Nie powiedziano. Ucieczka nam się udała, dlatego że, jak powiedziałem, przyjeżdżało od czasu do czasu, co kilka dni czy co tydzień, przyjeżdżał samochodzik, który zabierał ten urobek drewniany, to drewno,

które tam było cięte, trzeba było ciąć. Oni cięli takie drobne klocki, które służyły do opalania jakichś tam samochodzików, które były, miały takie prymitywne samochody, gdzie właśnie drewno służyło do, jako takie, tam paliło się w takim jakby kotle, piecu tam na tym i potem to była taka siła napędowa. Tak że to trzeba było tam nie tylko ściąć to drzewo i ciąć na takie drobne, ale to była ciężka, strasznie ciężka praca. Myśmy tam coś pomagali. Tam nie było zresztą w ogóle żadnych owoców, w ogóle nic. Przy każdym ogródku oni tam mieli, każdy przy domu tam mieli swoje jakieś małe ogródki, gdzie tam mieli trochę warzyw, jakieś tam coś tam, co tam wyrosło. Ale już wracam do naszej ucieczki. I był październik, o ile dobrze pamiętam, październik, kiedy przyjechał ostatni samochód po te drzewo. I przed naszym domem zatrzymał się nagle. Mama jak tam zazwyczaj w tym okienku tam siedziała, zobaczyła, i nagle z tej szoferki wybiegł chłopak. Wyobraźcie sobie państwo, wybiegł chłopak, którego mama poznała. Okazało się, że to był chłopak naszej znajomej z Równego, Janek Gajewski. I mama jak zobaczyła, to wyskoczyło natychmiast na dwór i mówi: "Janek, gdzie jesteście?" Okazało się, że on i jego ta pani Gajewska i on byli w tym miasteczku już. Oni się dowiedzieli wcześniej o tej amnestii i tam już jako... A u nas nie było to ogłoszone, więc myśmy nie wiedzieli. I: „Zabierz nas stąd, bo my tu pomrzemy, tu już nie wytrzymamy. Zbliża się kolejna zima i już nie...”. I Janek porozmawiał, mówi: "Zobaczę, spróbuję". A miał chyba jakieś 15 lat może ten chłopak. Czy 14, 15, nie wiem dokładnie. I on porozmawiał z tym kierowcą, to był taki starszy, bo tam młodych nie było, to w wojsku byli i on powiedział, czy mamy sprawoczkę, czy mamy dokument upoważniający nas od precedaciała. My mówimy: "Nie". To on tam się podrapał po głowie, mówi: "To wyjdźcie, jak się ściemni, to ja opóźnię trochę ten wyjazd. Wyjdźcie tam do lasu". Umówiliśmy się w którym miejscu tam z Jankiem i tam, bo ja się zatrzymam i wtedy was zabiorę stąd". I tak się stało. On zapakował to drewno, myśmy tam wyszli po cichu jeszcze, nie mieliśmy wiele rzeczy, tam jakiś tobołek, tego, tak żeśmy poszli i on nas zabrał. Ale do miasta, to była strasznie ciężka droga, bo wrzucili nas już w nocy, był bardzo silny mróz, myśmy tam, na zmianę brał nas jedną osobę tam do szoferki, a dwoje musiało być tam na górze w tym, tego drewna tam taka maleńka nisza tam, on tam zrobił taką. I tak żeśmy jakoś tam dotarliśmy, strasznie zmarznięci do miasteczka i tam zamieszkaliśmy u pani Gajewskiej przez pewien czas. Bo on, że tak powiem, zarabiał trochę, ten chłopak, pani nie wiem tam, czym się zajmowała, tam jakąś miała inną pracę może, tak że mieliśmy jakiś tam punkt zaczepienia. To jest taka nasza była ucieczka i teraz tak pomyślałem sobie dzisiaj, gdyby się ktoś tam dowiedział, czy ten precedaciel, że on nas wywiózł bez zgody tego ten, to on ryzykował wiele. Stąd ten anonimowy dla mnie człowiek był dla nas bohaterem, bo on nam po prostu uratował życie. Taki był pewnego rodzaju cud się dla nas zdarzył, przypadek. Tak że... I taki drugi przypadek to był potem, się zdarzył na taki pewnego rodzaju cudowny, że ten chłopak, mama się dowiedziała, że teraz są delegaci polscy gdzieś tam

rozzucani i ten najbliższy delegat, który od nas był, to był w Nowosybirsku, czyli bardziej na wschód jeszcze o paręset kilometrów, jeszcze bardziej na wschód. To tam był najbliższy. I tam można jakąś tam uzyskać opiekę czy coś takiego, pomoc jakąś, ale jak dojechać tam, to była wojna, wszystko było zarekwirowane dla wojska. Tam czasem doczepiano jakieś wagony takie zwykłe dla ludzi, którzy musieli przyjeżdżać gdzieś tam i ten Janek bardzo sprytny, udało mu się tam załatwić i tam mama coś tam jeszcze miała, jakieś nie wiem, obrączkę czy coś on tam jeszcze spieniężył i zakupił, udało mu się za te pieniądze zakupić jeden bilet, zakupił, bo trzeba było kupić, mimo wszystko bilet mieć. I ponieważ jak powiedziałem, był bardzo sprytny chłopak, powiedział: "Słuchaj, to tu nie wsiądziecie, ja tu w te wagony, które tam są, mają być przyczepione, to oni tam czasem tam stoją na bocznicach i gdzieś tam i on nas tam faktycznie po cichu zaprowadził. Tam już było trochę ludzi i myśmy tam, jeszcze nie było pilnowane i myśmy się tam wtoczyli do tego pociągu. Takie osobowe były też wagony, z takimi szerokimi półkami tam na górze, tam były takie szerokie półki, tam na bagaże. I myśmy tam wsiadali. Mama jak miała ten jeden bilet, więc nas wsadziła tam na te półki, tam, gdzie było wśród tych rzeczy tam, i nas tam ukryła na górze, a sama siedziała, tu jedna miała ten bilet. Tyle tylko, że ten bilet był do pierwszej stacji, na jeden najbliższy odcinek, jaki mógł tam kupić. I pociąg faktycznie tam, bo tam siedzieliśmy, mieliśmy tam dzień czy ileś tam w tym... Przyjechał, przyczepiono te wagony, te kilka, do tego pociągu, pociąg ruszył. Przejechaliśmy jedną stację, potem drugą i wsiadł do tego pociągu taki rosyjski oficer. Rękę miał chyba na temblaku, taką jakąś ranę, prawdopodobnie był to jakiś z domu czy tam gdzieś, nie wiem, czy jechał, wracał do domu, czy gdzieś tam, nie wiem, czy do rodziny. Wsiadł do tego samego wagonu, co była, siedziała mama. Mama już troszkę potrafiła mówić po rosyjsku, więc tam zaczęła się rozmowa i on się tak zainteresował, tam tak się jakoś widziałem, że tam rozmowa tak trwała. W pewnym momencie wchodzi konduktor. Konduktor, który tam był „car i włód”, bo w pociągu takim to jest „car i włód”. On, jeżeli ktoś nie miał, to musiał mu się opłacić, albo wysiadał, wysadzał go na najbliższym przystanku, a te pociągi stawały w różnych miejscach, czasem gdzieś tam w lesie albo gdziekolwiek z różnych powodów, albo na jakieś mijance gdzieś tam, to on wysadzał go po prostu, wyrzucał z pociągu i koniec. Jego nie obchodziło. Musiało się opłacić. I wszedł ten, już taki wytrawny był ten konduktor. Wypatrzył nas tam na tej górze, wyciągnął rękę i już chce wyciągać, i wtedy ten oficer rosyjski podniósł się i mówi: „Nie trąć, eta mai malcziki”. Nie ruszaj, to moi chłopcy. Ten, nie wiem, czy uwierzył, czy nie, ale to oficer. W Rosji oficer to cieszy się szacunkiem. To trzeba powiedzieć, że oni w wojsku się cieszą, zawsze tak było i tak jest do tej pory. Więc czy uwierzył czy nie, potem on wyszedł z nim tam na korytarz, z tym konduktorem, widziałem, coś tam wyciągnął. Wydaje mi się, że tam wyciągnął taką tuszonkę, taką, jaką oni tam w wojsku dostawali tuszonkę, to takie jest, no, wszystko jedno, taka konserwa wojskowa, załóżmy. I w ten sposób, że tak

powiem, załagodził sprawę i jechaliśmy dalej. Pojechaliśmy do, jeszcze tam chyba z dzień, dwa. I jeszcze teraz... A już zbliżały się święta Bożego Narodzenia. To było akurat wtedy, jak myśmy jechali. To było wtedy w przeddzień wigilii czy coś i na którymś przystanku, jak tam jechaliśmy dalej, ten oficer wysiadł. Mama strasznie już była zdenerwowana i nie wiedziała ten. Ale w ostatniej chwili okazało się, że on tam wysiadł na stacji, tylko żeby coś tam kupić i proszę sobie wyobrazić, że ten oficer przyniósł coś, zawiniątko w jakiejś gazecie. I potem mama nam to odtworzyła. Powiedział „Siewodnia wasz prazdnik” „dzisiaj wasze święto” I przyniósł dwa takie zmarznęte śledzie owinięte w gazecie, które on tam między innymi kupił na tej stacji tam. Mówił: "Dzisiaj wasze święto" i przyniósł nam te śledzie. To była nasza najpiękniejsza wigilia w świecie, bo myśmy tam byli na tej półce, bo tam było cieplej troszkę niż tu na dole i myśmy dostali tam po takim pół śledzika takiego do ssania, takiej zmarzliny, a mama tutaj na dole tam, pamiętam, czy coś zanuciła, jakąś taką kolędę. I tak dojechaliśmy. Tak że nam upłynęły tak te święta nasze. Taka nasza wigilia była w tym wagonie. I wysiadaliśmy w Nowosybirsku. Strasznie był tam mróz, bardzo zasypane były ulice wszystkie i tak dalej. Widzieliśmy na tych zboczach, na tych skarpach, bo wielkie śniegi spadły akurat i leżały tacy nawet zamarznięci ludzie prawdopodobnie, bo widzieliśmy tylko takie jakieś tam w kilku miejscach, a wokół stacji tłum ludzi, którzy chcą się dostać do środka, do stacji. Bo było bardzo zimno wtedy, jakiś silny wiatr i to w ogóle wszyscy marzli. Każdy chciał dostać się. Zamknięte było z tej strony i teraz co zrobić, i ten oficer wziął mamę pod rękę i mówi: "Tylko proszę się nie odzywać, do nas też i trzymajcie się za ręce i chodźcie za mną". I zaprowadził nas do tej stacji, ale od strony takiej nieoficjalnej, tam, gdzie, służbowej. I tam coś pogadał, tamci uwierzyli czy nie, że to jego rodzina, czy nie, w każdym bądź razie nas wpuścił tam. Tam nam uratował z kolei, bo byśmy tam sami bez niego, to nie mieli żadnych szans. To była taka nasza ten. I tam już zaczęło, tam faktycznie był delegat polski, który tam się, bo tam zjeżdżali się z różnych stron i dalej tam jeszcze z dalszych okolic, tam z Krasnojarska tam i tak samo z tej strony do Nowosybirska dojeżdżali. I tam on już miał troszkę żywności i tak dalej. Ale oczywiście myśmy dostali tam jakiś przydział, jakiś chleb, jakieś coś tam, co on tam miał i tego. Oczywiście szybko, szybko pochorowaliśmy: dyzenteria, bo to było, byliśmy tak wygłodzeni i tak dalej. To taka była nasza... I ten, on już, delegat organizował wyjazdy tam w rejon, z Syberii do Uzbekistanu. W ogóle do południowych republik sowieckich, bo tam się tworzyła armia Andersa. I tam większość była, dużo było rodzin wojskowych, więc tam oni organizowali przejazdy. Kto tam dotarł do tego delegata, to on tam organizował. I tam zorganizował tam dwa, trzy wagony takie Polaków, którzy jak myśmy tam coś dostali. Ale już takie wagony towarowe, takie, jakimi żeśmy jechali na Syberię, już nie tylko takie były zwykłe. Najpierw, tak króciutko jeszcze opowiem, najpierw nam kazali tam potem wysiąść, tam gdzieś zaczęliśmy, się obudziliśmy, okazało się, odczepiono nas od tego wagonu, czy dwa

wagony nasze były tam Polaków. Patrzymy, wychodzimy, a tam jest pustynia. To jest koniec, bocznica, kończyła się, była taka rampa, a wokół pustynia. Tam, gdzie daleko, coś, jakieś prześwituje, coś takiego, więc tu ludzie strasznie wystraszeni nie chcieli wysiadać, był bunt cały, tam dwa dni czekaliśmy i tam dopiero po całej interwencji w końcu nas zabrano stamtąd, bo nie chcieliśmy w ogóle, nie mieliśmy wody, do jedzenia nic. I przyjechał w końcu jednak, patrzymy, jakaś lokomotywa i zabrała nas z powrotem, bo mieliśmy skierowanie tam w inny rejon, ale jak nas tu zabrano, to powieziono z kolei na wschód. Na wschód, ale już tutaj w Uzbekistanie i aż pod samą granicę z Chinami, pod chińską granicę do miasteczka takiego Kasansaj. Też na takiej podobnej bocznicy nas wysadzono, gdzie był już koniec pociągu, ale do tego miasteczka trzeba było już arbami dojechać. Przyjechały potem arby i zabierały Polaków przez pustynię, przez takie pustynne tereny trzeba było do tego miasteczka. Nasza tragedia się zaczęła tutaj, szczególnie tam w tym wagonie, gdzie zmarł tam też jeden chłopczyk taki zmarł naszych współbratymców, państwa Wójcików, bardzo taka liczna rodzina Wójcików, i Szymańskich, i nas tam ta arba, która nas... Aha, i to dziecko, które zmarło jeszcze w pociągu, jak myśmy jechali, to ta Julcia, to siostra starsza jego, ona była ode mnie chyba o rok starsza, czy półtora roku starsza, ta Julcia wiozła to dziecko na tej arbie, zawinięte w jakieś takie tam szmaty i tak dalej, żeby go gdzieś pochować. To ona tam... To z jej zresztą relacji, tam opowiadała nam tutaj. Potem spotkaliśmy się i już... I nas zawieziono tam do tego miasteczka, Kasansaj to się nazywa, przy samych górach. I zatrzymała się ta arba przed jakąś taką stajenką, taką z lepianki takiej, tam stały te muły i tam te muły przepędzono w jedną stronę, taką żerdką oddzielono i nas tam, około tam kilkanaścioro Polaków umieszczono w tym. Nie było tam, tam była podłoga. Nie było żadnej podłogi, tylko było takie, no, jak w stajence takie klepisko [?], w tamtych warunkach. Najgorsze było to, że to była już zima i tam co prawda, to jest Uzbekistan, niby kraj południowy, ale to była zima i tam przy samych górach, więc tam temperatura spadała do zera i padały deszcze. I myśmy tam wegetowali. Do pracy musiała mama pójść, też znowuż do ciężkiej pracy, to znaczy została kopaczem, budowano kanały takie irygacyjne, które miały doprowadzić wodę z tego, bo tam przepływała rzeczka [niezrozumiałe, 00:42:51] i tam kopano w kamienistej takiej też, trzeba było te kanały kopać. Mama tam kilofem tam nie za bardzo mogła, to w końcu została nosiłkowym. Nosiła takie nosiłki ręczne z takim starym Uzbekiem, wynosiła ten urobek tam, bo to były głębokie kanały, więc wynosiła ten urobek. Myśmy tam czasem mamie pomagali i tak dalej, ale mama chorowała, ciągle gorączkowała i tak dalej. Tragedia. Nie było co jeść. Ja tam zresztą opisuje trochę też w swoich wspomnieniach tam, jak myśmy tak szukali pożywienia, jedliśmy, co tylko można było do zjedzenia, czasem podkradaliśmy i te nieszczęsne muły żeśmy okradali. On po prostu karmit te muły makuchem. Makuch to były wytłoki z tłoczenia oleju z ziaren bawełny. I ten makuch, bo to taki sprasowany, takie

twarde placki, to służyły do pokarmu tych mułów, które tam były. To myśmy tam, jak się dowiedzieli, myśmy kiedyś tak spróbowali, kawałek tam gdzieś znaleźliśmy, a to było tak twarde, więc zaczęliśmy piec to na ogniu i zamiast troszkę kruszały, to żeśmy tym... Ale ponieważ to coraz więcej żeśmy zaczęli tych, podbierać tego mułom, one głodne były, jak ten wyszedł Uzbek, to myśmy też lecieli i zabierali tym mułom to jedzenie, to ich pożywienie. Patrzyły na nas smutnym wzrokiem na pewno, że my im zabieramy, bo one ciężko pracowały, a my tutaj podbieramy. Ale zaczęły ryczeć, więc w związku z tym ten się domyślił, że coś tu jest nie w porządku i potem, jak przynosił, to siedział, aż one tam zjedzą to i dopiero... To myśmy chodzili z bratem w góry, tam szukaliśmy jakichś żółwi. Kiedyś znaleźliśmy jakieś jajeczka żółwi. Chodziliśmy po tych ogrodach, gdzie tam były wykopane jakieś tam różne, resztki pozostały jakichś tam warzyw, gdzieś znaleźliśmy na bazar do tego miasteczka szliśmy tam, czasem tam udało się nawet niechcąc tam komuś tam odebrać ze stoiska jakiś tam kawałek jakiegoś warzywa czy coś, ale to było trudno. Ale to się kończyło, oni już byli uczuleni, bo takich jak my, tam było bardzo wiele, tych dzieci. Nie tylko polskich zresztą, tam włączających się i tak dalej, głodujących. Tak że to było z tym... No, takim pokarmem jeszcze naszym było tam, myśmy zauważyli, że jak jechał Uzbek na targ, to jedli urug. A urug to są takie suszone morele. Oni sobie... I wypluwał te pestki, więc myśmy szli za tym jego pojazdem, jak on wypluwał, to myśmy zbierali te pestki, tłukli i zdobywaliśmy jakieś tam pożywienie. Takie jeszcze żeśmy, takie jedzenie, co mieli, to było coś w rodzaju lebiody. Takie rosły tam, coś takiego rodzaju. To okazało się, że jako tako można to ugotować i coś zjeść. Nie mówię o tym psie, który tam pod Archangielsk, bo tam było z tych starszych chłopaków, tam z tej drugiej rodziny, tam tego, tam utłukli i tego, ale to tragedia. I zimno. Zimno. Ja tak nie zmarzłem, myśmy tak nie zmarzli, na Syberii zmarzliśmy, było zimno, głód był, ale tam byliśmy na początku jeszcze jako taki zdrowi. Tu już przyjechaliśmy chorzy. Mama ciągle gorączkowała. Nie mieliśmy na zmianę nic. Deszcze padały, więc ciągle schło tylko na nas, co było, to na nas schło. Myśmy kładli się tam na mokre i tak żeśmy wegetowali. Ale to nie było najgorsze. W pewnym momencie po paru tam tygodniach nastąpiła wielka epidemia tyfusu. I tu chciałbym powiedzieć taką rzecz, właśnie taką dygresję. Na Syberii było nam źle, to wszyscy wiedzą, to opisywane było przez tysiące ludzi. Chociaż nie wszystkim było tak bardzo źle, tak tragicznie. Bo były na przykład te rodziny, pierwszym transportem, które były wywożone do Rosji, do tej części europejskiej, tam pod Archangielsk czyli tam, gdzie było... Ale to były całe rodziny. Tam byli mężczyźni. Takich zresztą moich kolegów ja mam tam, którzy też pojechali, cała rodzina z ojcem, więc ojciec do pracy tam, drewno to ten, matka też tam gdzieś jakoś i to było... Mieszkali w jakichś wspólnych tam barakach, takich, jakie tam były i tak dalej. To jest wszystko opisywane, tak jak tam jest. Ale tam był z reguły mężczyzna. U nas mężczyzn nie było tam. To było o tyle, że matki były same zdane na siebie, tylko, i na te dzieci, które

musiały jakoś tam wyżywić, wykarmić. Ale to wszystko żeśmy przetrwali. Natomiast tam na południu to okazało się, że... A, jeszcze dokończę może ten temat, tych zesłańców, bo różni byli. Natomiast ten trzeci transport, który był, zsyłek, to on się odbywał już w grudniu 1941 roku [maju/czerwcu 1941 r.], tuż przed wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej, czyli praktycznie ci zesłańcy z trzeciego tego, to zresztą byli w dużej mierze uchodźcy polscy, którzy przyjechali tutaj na wschód, bo bardzo wiele rodzin, które uciekały tam przed Niemcami, były tu na tych wschodnich terenach i tam część z nich została też deportowana i tam bardzo wiele, ale to już był koniec praktycznie, bo to jak wybuchła wojna już niemiecko-rosyjska, to już było praktycznie, oni byli bardzo krótko na tym zesłaniu, czyli tu mamy takie bardzo zróżnicowane te różne transporty i to bardzo ważna jest, istotna sprawa, w najgorszej sytuacji właśnie był ten kwietniowy, bo tam były praktycznie same matki z dziećmi albo starsze osoby, jakieś tam już schorowane czy takie, więc dlatego powiedziałem, to jest zróżnicowanie. Mówi się "Sybiracy, Sybiracy". Ci pierwsi z pierwszego transportu nie byli na Syberii, ale byli w podobnych warunkach, ale byli w części europejskiej gdzie było zresztą więcej ludzi, też tam tajga i tak dalej. Ale to było bardziej zorganizowane, bo tam były jakieś baraki takie czy inne, ale wiadomo, jakie one były, to znamy to z opisów różnych ludzi. Natomiast u nas myśmy mieszkali, w zasadzie wtłoczeni do tych ludzi tam, którzy tam mieszkali. I tam nie było żadnej opieki, w związku z tym tam nie było mowy o żadnych tam socjalnych, jakichś tego. Niczego nie było. Trzeba się było utrzymać i koniec. I tam bardzo dużo dzieci, że tak powiem. I teraz wracam do tego Uzbekistanu tragicznego. Ten tragiczny Uzbekistan, jak powiedziałem, dla nas osobiście, dla mnie osobiście był gorszym pobytem niż na Syberii. Bo tam mimo wszystko byliśmy wśród ludzi. Oni byli, na ogół nie byli do nas wrogo nastawieni, ci miejscowi. Zresztą to był rejon zsyłek w ogóle, ten rejon, co myśmy byli. Tam byli, tego nie mówiłem o tym, ale myśmy w sąsiedniej wiosce, tam nas zaprowadził ten Kolka tam, mówi, że tam też są jacyś Polacy, jakiś Polak tam mieszka. I on nas tam zaprowadził. Okazało się, że tam, jeszcze wracając do Syberii, myśmy tam poszli z nim i okazało się, na końcu wsi mieszka, rozwalająca się taka buda, wyszedł taki stary człowiek, zarośnięty, taki, wiesz, nie wiem, sto lat miał może czy ile, tak jak mówili tam, „stary Kaszka” i mówi, i zaczyna... We wsi mówią, że to jakiś Polak tam jest. Okazało się, że to był prawdopodobnie zesłaniec jakiś tam, nie wiem, w jakim okresie i myśmy zaczęli tam, brat trochę zaczął z nim rozmawiać i on najpierw powiedział, jak się nazywa, powiedział, że się nazywa Wrona. A potem się poprawił: "Wrona, Wrona", mówi. I tak jeszcze trochę polskich słów pamiętał i okazało... I coś mówi, że on gdzieś tam był, uczył dzieci czy był nauczycielem, jakieś tam miasteczko podawał czy coś takiego, tam z bratem, brat mi przekazał to. Ja tam słyszałem, tylko, że nie bardzo tam to kojarzyłem wszystko. Byłem młodszy. I to był prawdopodobnie jakiś stary zesłaniec, który już tam był na... Nie wiem, kiedyś tam. I okazało się, że w tej wsi, w której myśmy byli, to też była tam

większość, to była ludzi, niby Rosjan, ale to nie tylko Rosjan, ale tam i jakichś innych narodowości, którzy tam już zostali i są tam. I jak ten teren wyglądał, to ja niedawno oglądałem na mapie satelitarnej ten rejon, gdzie myśmy byli. Jak dzisiaj popatrzyłem, to się...

Julia Krajewska: Na Syberii, tak?

Wiesław Stypuła: Proszę?

Julia Krajewska: Na Syberii?

Wiesław Stypuła: Na Syberii, tak. W stronę... Mówię nie po kolei, ale to mi się skojarzyło. To tam zobaczyłem, proszę zobaczyć, od tego miasteczka Bułajewo na północ, jak tam zobaczycie państwo na tę satelitarną mapę, to wszędzie jest napisane: bołoto, oziro, bołoto, oziro. Napisy rosyjskie tam ten. Wszędzie tam teraz już, prawdopodobnie nie ma tam. Już ci ludzie wymarli prawdopodobnie. Prawdopodobnie, bo ja nie szukałem, chciałem tak z ciekawości znaleźć to nasze te Bierezniaki. Nie ma tam już tego. Tylko wszędzie bołoto, oziro, bołoto, oziro. To tak gwoili, gdzie to jest. Tak chciałem pokazać, że to było to centrum. Stamtąd nie można było uciec praktycznie, bo czym uciec? Poza tym trzeba było znać tajgę i tak dalej. To są rzeczy takie. Ale wracamy tutaj już do Uzbekistanu. W czasie tej epidemii zdziesiątkowana została ta nasza kilkunastoosobowa grupa tych Polaków, tam rodzice Szymańskich, potem rodzice tych Wójcików, potem brat jeden, młodszy, tej Julci, tylko została jej siostra starsza. I moja mama, i brat też zostali zabrani, bo jak tam były jakieś objawy gorączki i tak dalej, to momentalnie przyjeżdżała tam jakaś służba, nie momentalnie, ale jak tam dowiedzieli się, zabierali do tak zwanego szpitala. To nie był szpital, to był taki pseudo szpital, gdzie gromadzono ludzi zakażonych. I jak to przeżył tam, jakiś byle lekarz jeden czy dwóch tam byli, ale tam nie było żadnych lekarstw. To były straszne warunki. I ja straciłem kontakt. Zostałem sam. Miałem 11 lat. Nie mam co jeść, nie mam gdzie spać, bo jak tam jest, wymarło trochę, tę resztę wyprosił, tam tych parę dzieci, które zostały i tam wrócił, przywrócił tym mułom ich legowisko i zostałem ja tak samo na ulicy. Nic nie miałem. Praktycznie dla mnie był... I nie tylko dla mnie, bo takich dzieci było wiele. I właśnie tu chcę zwrócić na jedną rzecz uwagę. Mówi się często, pisze się wiele o Syberii, o zesłaniu, ale w porównaniu to, co myśmy, w każdym razie w tym rejonie, gdzie myśmy byli, Uzbekistan, to była dopiero tragedia Polaków. Tam jest kilkanaście, ja nie wiem, ocenia się że kilkanaście tysięcy Polaków tam zmarło wojskowych i cywilnych, i tak dalej. I tam była faktycznie jatka Polaków. Tam nikt nie doliczy, ile tam, i najgorzej były te dzieci, które tak jak w przypadku moim, i moich kolegów, było takich dziesiątki czy setki tam ludzi. Setki. I te dzieci albo włóczyły się, albo żebrały po ulicach, bo jak zmarła matka, to co dzieci, tam nie było żadnej opieki. I jeżeli tam czasem niby był taki, tak zwany dietdom ale to był w zasadzie taki ośrodek, w którym

gromadzono takich, jak to się mówi, chuliganów, takich, co tam kradli albo jakieś tam rozboje i tak dalej, to tamtych gromadzono i to była jedyna... I tam dostawało się raz dziennie jedzenie jakieś tam, coś, jakąś zupę. Ale tam warunki były... Ale jedyne było to, że był dach nad głową. To było to. Ale tam się dostać ja nie mogłem tak za bardzo, bo nie było jak. To też znowuż mnie tam pomogła jedna miejscowa. Nie wiem, jakiej ona narodowości była, czy to była pół Uzbeczka, czy pół Rosjanka. Nie wiem, taka mieszanka. Bo tam było dużo małżeństw mieszanych, tak że tam trudno. Ja nie wiedziałem. Jakaś jedna z tych takich urzędniczek. Ja nie wiedziałem, jaki tam był urząd, siadłem tam gdzieś, bo szukałem jakby tej mamy i brata, najpierw ich, potem do tego ośrodka dotarłem, gdzie oni byli. Chociaż tam nie dopuszczano za bardzo tam, blisko tego szpitala, ale jakoś tam ja zacząłem chodzić naokoło tam i zajrzałem do jednego z pomieszczeń, znalazłem mamę. Mama leżała tam, ogolone włosy i tak dalej, ledwo tam zapała. Wydawało mi się, że jak zacząłem stukać tam w tę szybkę, że mama żyje. Wydawało mi się, że podniosła trochę głowę i uśmiechnęła się. Tak wydawało mi się tylko. I potem ta głowa jakoś jej opadła. Ja się przeraziłem, bo myślałem, że mama umarła. Zacząłem szukać brata w którymś z pokoi, tam jeszcze też znalazłem go. Ten pokój... W pokoju widziałem, brat leżał, przodem był do tego okna. I ja go zobaczyłem, i widziałem, że on leży, ale leży nieruchomy. Patrzy, ale mnie nie widzi. W ogóle się nie odzywa. Ja myślałem, że brat nie żyje. Okazało się, że jednak brat żył, ale to mi opowiedział potem, że okazało się, że w jego łóżku... Tam był taki tłok, że w tym szpitalu, tym pseudo szpitalu to umieszczono, było tak tłoczno, że do jego łóżka wsadzono jeszcze jednego jakiegoś tam Uzbeka, który stracił nogi w jakimś tam wypadku. Był po amputacji nóg i go, ponieważ on był krótki, chłopak też krótki, wsadzili go na drugą stronę do tego łóżka. Ten krwawiący, brat mówi, te krwawiące jego te nogi i on tam, mówię, on był tak przerażony, że on się nie mógł w ogóle odezwać. To było takie ten. I ja tam już nie wiedziałem, co robić, zresztą tam ten jeden z tych stróżów, który tam przegonił mnie tam z tego. I ja w końcu dostałem udało mi się po całych trudach, to zresztą opisuję szczegółowo, do tego dzietdomu tam się dostałem. Tak powiedziałem, raz dziennie. Nie było rygoru, że musieliśmy tam, to nie był zamknięty, tylko że dawano taką pseudo taką opiekę tam jakąś, że raz dziennie i tam można było. Ale tam to były te bandy, jakie warunki były, jak tam to było zorganizowane, ci chłopcy różnych narodowości tam byli i Rosjanie, i Żydzi, i Polacy. To był ośrodek na sto osób, a tam było chyba ze 300 osób. Ale mnie tam, dzięki tam tej Rosjance jednak udało się, czy tam tej... A dlaczego powiedziałem "udało się"? Bo ona, ja tam siedziałem i płakałem na tych schodkach takich drewnianych i ona tam co pewien czas tam wychodziła, mnie zauważyła, że ja tam ciągle siedzę, w końcu zapytała mnie, a co ja tu robię. Ja zapłakany, mówię, że mama w szpitalu zmarła i tak dalej. To ona mnie zaprosiła do środka. Siadłem i zaczyna pytać się: "A skąd ty jesteś?" i tak dalej. Ja tam mówiłem, że z Polski, tego, tam, coś im poopowiadałem, ale że tam mama zmarła, a ona tak... I pamiętam ten taki

obrazek, ona miała taką kanapkę położoną na tym stole. Jak ja zobaczyłem tę kanapkę, to ona coś mówi, a ja tylko na tę kanapkę patrzę. Patrzę, patrzę, patrzę. I ona popatrzyła na mnie, mówi: "Ty głodny, ty jesteś głodny?". Ja mówię: "Tak". I ona mi tę kanapkę dała. Ja się rzuciłem na to i ona się mnie pyta, a taka sympatyczna była, mówi: "Słuchaj, ja to też mam takie kłopoty. Mój mąż jest na froncie. Ja nie mam dzieci. Może byś ty chciał zostać u mnie?". Ja jak usłyszałem "zostać", to ja się zerwałem i chciałem uciekać. Ona chwyciła mnie za rękę i mówi: "Nie bój się. Ja ci dam sprawoczkę taką, taką rekomendację, żeby tam cię przyjęli do tego". I tak się z nią pożegnałem. "Ale jak będzie ci tam źle, to przyjdź do mnie, to..." Bo ona chciała, że tak powiem, ja nie mam dzieci, to będziesz miał u mnie tu dobrze i tak dalej. Ale mnie to strasznie przeraziło jako dziecko. Tak że to takie było moje osobiste dostanie się. Tak że takich jak ja, tam, jak powiedziałem, było kilkanaścioro dzieci. I faktycznie po pewnym czasie... A myśmy tam mieli tę swobodę. Dojadaliśmy, kradliśmy tam trochę, co można było, jak tam, dożywialiśmy się. Tam bójki były, bo to tam młodzież, wiadomo, różnego rodzaju tam, jak w tych takich ośrodkach, to tragicznie tam to wyglądało. I tam niewiele było do przetrwania. Były też i małe dzieci takie polskie tam. Tam była rodzina moich kolegów potem późniejszych i tam przyjechał w pewnym momencie jakiś delegat polski. Delegat polski, który jakąś tam drogą dowiedział się, że tu są Polacy, bo Polacy byli rozrzućeni po całym Uzbekistanie. Uzbekistan to jest większy jak Polska, a jeszcze Kirgistan i tam południowy Kazachstan to jest tak jak pół Europy praktycznie. Co z tego, że ktoś tam gdzieś jest. Jak tam dojechać, jak się dowiedzieć, za co i tak dalej, gdzie znaleźć, jaki kontakt, telefony, to tam wiadomo, jak w czasie wojny, w tamtych warunkach, jak tam to funkcjonowało gdzieś. Ale jednak tam ktoś się dowiedział o nas, w tym Kasansaju. I ten delegat przyjechał. I on tam nas zaopatrzył trochę i powiedział, że: "Ja tu was zabiorę stąd". I wziął nas faktycznie po dwóch dniach, przyjechał jeszcze tam, jeszcze nie wiem, czy tam gdzieś jeździł, gdzieś nie wiem, po jakichś urzędach. W każdym bądź razie przyjechała arba, to arba, to wiecie państwo, ten dwukołowy wóz z wielbłądem. I wziął nas tam, nie pamiętam dokładnie, siedmioro czy ośmioro tam jakichś tych dzieci z tego, wybrał nas, nie wiem, na jakiej zasadzie, bo nas tam było kilkanaście, czyli połowę zabrał. I powiedział: "A to będą na drugi rzut", może w lepszej kondycji byli, może, nie wiem. W każdym razie nas wsadził na tę arbę i myśmy szli do takiego miasta, tą arbą, Namangan, takie duże miasto, tam Namangan. I tam jechaliśmy dosyć długo przez takie tereny półpustynne, znaczy musieliśmy zsiadać z tego, bo jak było za ciężko, to musieliśmy trochę ulżyć, tyle osób tam jechało. Więc częściowo na piechotę szliśmy. Nie wiemy, ile tam godzin. Dużo, to trwało może z cały dzień. Jakoś dotarliśmy do tego Namanganu tam. I tam okazało się, że już był też z kilku innych rejonów, kilkanaścioro dzieci polskich. I to już dla nas było, że to już była polska taka ochronka. I tam po pewnym czasie, stamtąd pojechaliśmy pociągiem, mieszanym, bo tam trzeba było przesiadać się i tak

dalej. Stamtąd przez Taszkient do Aszchabadu. Z 1400, z 1200 kilometrów. Nie wiem, z tego miejsca, gdzie myśmy tam dojechali Aszchabad to jest stolica Turkmenistanu, gdzie już był taki zbiorowy transport szykowanych dzieci, sierot polskich do Indii. Prawdopodobnie do nas tam przyjechał być może jeden z tych delegatów, którzy jak państwo może wiecie, tam z Bombaju do Uzbekistanu, do Aszchabadu wyjechał taki transport z pomocą humanitarną, jak to się dzisiaj mówi. Przewodniczył temu wicekonsul z Bombaju, doktor Lisiecki, który przyjechał, czwórka ich była z samochodami, z takimi samochodami. Było pięć takich samochodów ciężarowych amerykańskich i tam jeszcze dokupiono takie indyjskie samochody i miały to przejechać stamtąd, pierwszy transport miał wyjechać. I oni mieli w drodze powrotnej, Rosjanie w międzyczasie się zgodzili na wypuszczanie Polaków i jak ja dojechałem do tego Aszchabadu, to już ta grupa się szykowała do wyjazdu. I w tym czasie właśnie już szykowała się i w tej grupie była między innymi Hanka Ordonówna, która była tam właśnie w tym sierocińcu. Zresztą jej ten mąż, Tyszkiewicz, to on tam był, że tak powiem, szefował tej grupie, bo było takie wynajęte, takie jakieś, jakiś taki hotelik czy nie hotelik, taki robotniczy, nas tam umieszczono, zbierano te dzieci. I z tym transportem przyjechał doktor Konarski między innymi. Nas czwórka było tych Polaków, przyjechało. Ale oni przyjechali samochodami z Indii. Z Indii samochodami, tam z tymi darami, tam 60 ton przywieźli tych darów pomocy i tam jakichś zastrzyków nawet dla wojska i tak dalej, i w drodze powrotnej pomyśl, żeby nas, znaczy z tego Aszchabadu zabrać z powrotem do Indii. A droga z Bombaju tam do tego, to jest parę tysięcy kilometrów, bo tam trzeba było jechać z Bombaju aż do Deli na północ, naokoło objechać cały ten pod góry i potem z powrotem zawrócić na południe wokół potem Afganistanu, potem wokół Afganistanu do Iranu i dopiero tam do, Iran graniczył z Turkmenistanem, czyli tam już... Ale oddzielało tam wysokie pasmo górskie Kopet-dag. I jak ja przyjechałem do Aszchabadu, to wtedy byłem jeszcze w bardzo złym stanie, zresztą mnie ten doktor, to nogę w końcu tam, udało mu się, tam wyreperował i już... Ale już się nie zabrałem, nie zdążyłem zabrać na ten pierwszy transport. Pierwszy transport już wyjechał. Ten pierwszy transport rozpoczął ewakuację cywilnej ludności w ogóle. To było 12 marca 1942 roku pierwszy transport z dziećmi, stokilkudziesięcioro dzieci z księdzem Plutą, który był tam, jakby przewodniczył tej grupie. On był delegowany z wojska. On był wojskowym kapelanem. On był delegowany. I on z tą pierwszą grupą, i Hanka Ordonówna pojechały, a jeszcze ten koncert ja pamiętam, jak ona przed wyjazdem taki urządziła tam w Aszchabadzie, a zresztą ona chodziła, ładnie, bo ona tam zajmowała się trochę tak, starała się tam rozruszać trochę te dzieci i ładnie śpiewała tam, ale też chodziła i gwizdała bardzo ładnie. Pamiętam, gwizdała w czwórkę jakąś tam. I tak że tak ją wspominam i potem jak przed tym wyjazdem ona tam zaprosiła, bo tam w Aszchabadzie było trochę polskiego wojska, też z takich, którzy tam byli, komórka taka samochodowa tam była. Bo też część tych ludzi czy żołnierzy i ludności

cywilnej początkowo była przywożona drogą lądową do Iranu. Droga lądowa, a tam, jak powiedziałem, leżało pasmo górskie, wysokie takie, mnie więcej wysokości naszych Alp, to założmy tej wielkości i tam trzeba było pokonać to pasmo górskie, żeby dotrzeć do Iranu. To była bardzo niebezpieczna droga, bo to była droga w zasadzie dla karawan czy tam dla jakichś mułów, wykuta częściowo w skale, jakaś wąska, więc Rosjanie, jak w 1941 roku, jak wkroczyli, jak Anglicy wkroczyli, wojska angielskie wkroczyły do Iranu zachodniego, do Teheranu, tak Rosjanie natychmiast wkroczyli do Meszhedu. Właśnie tą drogą między innymi, oni tę drogę troszkę przystosowali do przyjazdu samochodów, tych takich, ich takich samochodzików, ale to była bardzo niebezpieczna droga. Tam było bardzo wiele wypadków. Między innymi w Meszhedzie groby są na naszym takim polskim cmentarzyku. To właśnie między innymi jechało tą drogą ewakuacyjną później trochę niż po nas, jechała grupa polskich dziewcząt, które wstąpiły do tej organizacji, no, jak ona się nazywała... I jeden samochód tam spadł w przepaść i tam siedem tych dziewcząt zginęło tam. I są pochowane na cmentarzu właśnie w Meszhedzie. Tam zresztą to Lisiecki, ten, który tam potem urzędował na tej granicy, bo tam również docierali wojskowi, którzy nie kierowali się do Meszhedu na wschód, jak się przekracza, tylko na zachód do Teheranu, i tam wojsko miało być tamtędy. I tam część wojska tamtędy kierowano, ale to było bardzo trudne, bardzo niebezpieczny przejazd przez te góry, bo tak samo na terenie Iranu, tam były takie wąskie drogi górskie, bardzo niebezpieczne, tam też było tak, że w końcu przeszliśmy, nasze wojsko polskie zaczęło być transportowane do Krasnowocka i potem do Morza Kaspijskiego i Morzem Kaspijskim do Pachlewii, tam do Iranu. Ale tutaj parę tysięcy tą drogą też, ale ona się już urwała. Także wyjechał tą drogą właśnie ten pierwszy transport, potem nasz, ja jechałem drugim transportem, znaczy tam parę miesięcy później i potem jeszcze jeden trzeci, tak że ja jechałem drugim transportem. Już po nas przyjechało więcej samochodów, bo jak ta grupa, która wiozła te dary pomocowe, tam byli hinduscy kierowcy, ale oni nie mogli przejeżdżać przez granicę, Rosjanie tam nie pozwalali, tak że trzeba było tam, Rosjanie musieli pilotować przez ten przejazd. Oni się dzielili, wojskowi, często swoimi racjami i tak dalej, jeżeli były rodziny gdzieś tam blisko, to one korzystały trochę. Miały jakąś pomoc, ale tak jak myśmy byli tam, ta grupa, te, które były gdzieś daleko od wojska, to były w tragicznej sytuacji. I tam na ten temat bardzo mało czytałem w ogóle i wiem. I dlatego dla mnie ten Uzbekistan jest taki najbardziej tragiczny, bo ja tam widziałem najwięcej ludzi, którzy umierali, nie tyle na Syberii, bo tam tylko jedno to dziecko, co przy naszym tym zmarło i tam jeszcze był taki w sąsiednim tam, to słyszeliśmy, co pisałem w tej książce swojej tam o tej kobiecie młodej jakiejś, nie wiem, w jakich to okolicznościach, ale tam, że ona tam została jakoś zabita w końcu, czy tam właściwie zajezdona przez te komary, bo o tych komarach to już jest...

Julia Krajewska: Meszki syberyjskie?

Wiesław Stypuła: Proszę?

Julia Krajewska: Meszki syberyjskie? Bo w wielu relacjach pojawiały się te meszki syberyjskie, które do krwi prostu gryzły.

Wiesław Stypuła: Tak, one... To sobie trudno wyobrazić, ja tego nie opowiadałem o Syberii tam, jak myśmy...

Julia Krajewska: Tak, tak.

Wiesław Stypuła: Myśmy tam, idąc w teren tam, to myśmy palili takie łuczywa, smolne takie i żeśmy tym się odganiaли, bo to dzisiaj widzicie, jak amerykańskie, na pustyni są te wielkie, no, te burze, te pioruny, które tam potem walą w tę ziemię, takie warkocze się tworzą, to tam tworzyły te komary. Takie właśnie słupy takich komarów, i one tak fruwały, tak ten. I jak tak trafił na człowieka, to one momentalnie w 100% go obsiadały. To było... Komary czy te muszki tam, nie wiem, jak to tam nazwać, w każdym bądź razie to myśmy tam, on nas nauczył, jak się chronić przed tym i to było to. Więc nasz transport już miał dwieście kilkadziesiąt osób, drugi transport, i przewodził mu jeden człowiek. To jest doktor Konarski. Zresztą to był pochodzenia, lekarz, pochodzenia polskiego, żydowskiego, ale bardzo, bardzo ciekawy, bardzo mądry i dobry człowiek, i bardzo odważny. Proszę sobie wyobrazić, jaką drogę, ja teraz opiszę tę drogę, jaką myśmy jechali do Indii, bo to jest bardzo ważne. Jaką musiał mieć on odwagę, podjąć ryzyko, przyjąć ze sobą dwieście kilkadziesiąt dzieci, chorych, trochę zaleczonych, trochę podleczonech, ale trochę. W jakich warunkach, więc pierwsze, to mówiłem o tym pierwszym przejeździe przez tę granicę tutaj między Aszchabadem, a do Meszhedu myśmy docierali. To ta droga to był koszmar. Jak powiedziałem, to była droga dla mułów czy tam dla wielbłądów. Trochę przystosowana, tam były tak ostre zakręty, że myśmy na niektórych odcinkach musieli wysiadać z samochodu i kierowca kilkanaście razy tam robił takie te ruchy drobne i tak dalej, żeby wykręcić w ogóle. Nie było praktycznie, tam w jednym czy dwóch miejscach były tylko możliwości minięcia się, więc Rosjanie musieli mieć łączność cały czas, jak puszczać z tej strony, żeby z tamtej strony nie puszczał, a jeśli tam ten, to musi gdzieś tam czekać, I teraz tak przejazd był drogami, które trzeba było pokonać trzy przełęcze. Trzy przełęcze trzeba było pokonać. To były te najniższe miejsca, gdzie trzeba było przejechać i te przełęcze to 1800, 2800 metrów nad poziomem morza, przełęcz. Tu na dole był upał, tam było zimno. I jeszcze te warunki. Droga taka, jak powiedziałem, jaka droga. Góry dzikie, skały wszędzie i tak dalej. To był ten przejazd. Ale to był jedyny przejazd. Drugi był przez Afganistan do Indii, ale tam to w ogóle był zamknięty. Ale to nie z tego rejonu. Więc także tutaj ta droga lądowa była taka. Ta zresztą droga była też rozpatrywana przez nasz rząd, Sikorskiego i Andersa do ewentualnej ewakuacji, bo między innymi Lisiecki, on miał za zadanie

również zbadać, czy istniały możliwości ewakuacji wojska polskiego, generała Andersa właśnie drogą lądową w tamtym kierunku do Iranu. Ale, jak się okazało, że jednak była zbyt trudna ta droga, żeby móc mówić o masowej ewakuacji, w związku z tym zdecydowano się ostatecznie, żeby większość wojska była, i ludności cywilnej też. Ale część pojechała tędy, najkrótszą drogą. I teraz w Meszhedzie, tam dotarliśmy. Prymitywny taki, tam też on zorganizował taki pseudo, po jakimś tam obozowisku, nie wiem czy to był sierociniec kiedyś, jakieś takie baraki tam były, takie domy. Może nie baraki, ale takie domy prymitywne tam bez wyposażenia, ale to już było tam ciepło, więc to nie było problemu. Tam myśmy mieli odpoczynek trochę przed wyjazdem i ruszyliśmy samochodami, ale już te samochody były, to były amerykańskie samochody, Chevrolety, które rząd polski... Jak właśnie jechał w tę stronę pierwszy raz Lisiecki z Bombaju tutaj do Aszchabadu, to on, nim przekroczył granicę pojechał do Teheranu, gdzie był chyba Sikorski. I uzgodnili tam, Sikorski zresztą obiecał, że załatwi nowe samochody dla nas do transportu, bo tu było tylko pięć samochodów. Pięć samochodów to niewiele tam osób. Więc tam kupiono właśnie 20 kilka samochodów i nasza grupa już jechała tymi samochodami, 20 parę samochodów przystosowanych do przejazdu, tam ławki zrobione były. Te samochody zresztą tam na tych zdjęciach to ja mam zdjęcia tych samochodów i jak myśmy tam jechali. I teraz, jak drogą. Meszhed jest na wschód, na północnym-wschodzie w Iranie. Teheran w odwrotnym kierunku. I teraz te samochody, które nasze przejechały, skręciły na lewo, tu do Meszhedu i z Meszhedu jadą znowuż dalej, aż do samej granicy, pod granicę Afganistanu, a tam się zaczynają po prawej stronie pustynie, dwie pustynie irańskie. Pustynia Lota tak zwana i pustynia Słona, obrzeża. I prawdopodobnie tamtym szlakiem właśnie Aleksander Wielki zmierzał do Indii, tak potem nam opowiadano. Tamtą drogą, tą okrężną drogą, niebezpośrednio przez Iran, bo przez Iran tam, to pustynie straszne, tam był... Teraz ciężko, ale to był, tam już są gdzieś tam autostrady, ale wtedy to tam było, tamtędy nie można było przejeżdżać. Można było, ale to był bardzo ciężki przejazd. Zresztą bezludny, więc to... Więc myśmy tam wzdłuż granicy irańsko-afgańskiej, od południa aż do samego, aż do Beludżystanu, bo Beludżystan wtedy był dzielnicą Indii. Tam przekraczaliśmy granicę i tam znowuż pustynia Beludżystanu. Tam jechaliśmy siedem dni samochodami. Tam mieliśmy takie drobne przygody, ja trochę opisuję o tym, nawet w czasie jazdy, bo w górach tam też było tych różnych, z tych muzułmańskich takich tam, oni tam walczyli. Nie mówię, że to byli Kurdowie i tam inni. W każdym bądź razie, którzy tam walczyli, albo napadali, żyli z rabunku po prostu. Jak szła karawana czy jakiś ten, to oni napadali i po prostu się... A myśmy mieli taki incydent drobny, ale to tam się udało. Oczywiście mieszkaliśmy tak w samochodach albo gdzieś tam, ale to było dużo... I dotarliśmy tam do Indii.

Wiesław Stypuła:

!!! Od tego fragmentu powinna rozpoczynać się część 2:

A teraz wracając już do osiedla, zaczęło się życie, szkoła, znowuż nie ma nauczycieli, nie ma podręczników, nie ma nic. Przychodzi z pomocą nam oczywiście kto? Maharadży i Maharani. To jakieś tam, sprowadzono jakieś tam urządzenia tam, znaczy takie ławki, takie krzeselka jakieś i tak dalej, takie dwuosobowe ławki. Najprostsze tam ołówki do pisania, coś takiego, to już było na początku, nie mieliśmy tam, a potem dopiero mieliśmy jakieś kałamarze, jakieś pióra i tak dalej. I to na początku to było, założmy, ta nauka, nie było nauczycieli, były tylko dwie nauczycielki, jedna była młodziutka nauczycielka, właśnie druhna Ptakowa, która była instruktorem harcerskim przed wojną, młodziutka taka, uczyła tam gdzieś w szkole takiej tej powszechnej, ale jednocześnie... I ona właśnie, o niej wspomnę może, bo to tam nie była jedna z najważniejszych postaci tam w Indiach, ta druhna Ptakowa. Myśmy na nią mówili "Druhna", bo tam nie używaliśmy innych tam określeń. Druhna Janka albo druhna Ptakowa. Druhna, to było to. I tragedię przeżyła swoją osobistą. Ona miała z dzieckiem... Dziecko jej zmarło w Meszhedzie. Troszkę później po nas, bo myśmy potem się z nią spotkali. Zmarło jej dziecko i tam pochowane jest na tym grobie taki mały Józik, tam, nie wiem, 83, tam koło roczku zdaje się, miał, koło roczku, to dziecko. I tam na tym cmentarzu też jest pochowany. I ona... Mąż jej był w wojsku. Nawet ją namawiano tam, taka, ona wspomina swoją taką, opowiadanie nam opowiadała, że kardynał... Kardynał, polski kardynał. Myśląc, który był wtedy tam w Teheranie i on namawiał ją też, znaczy potem przychodził tam, namawiał ją, żeby pojechała do wojska, tam z mężem będą, się spotkają, tego. A ona powiedziała nie, ona zostanie, bo mówi, tutaj to są... Ja muszę zostać, bo ona była taka idealistka, naprawdę idealistka taka bardzo. I zapalona harcerka taka. Ale w harcerstwie takim typowo przedwojennym, takim badenpowellowskim jeszcze. A chłopcy byli jakby przygotowywani, takie było założenie, do walki, dorosną i pójdą do wojska, bo wojna, jeszcze wtedy nie mówiło się, że skończyła się czy kiedy się skończy, będzie może i druga wojna, i ten. I nas tam przygotowano, starszych chłopców trochę do tego, żeby... Zresztą od nas część poszła tam do... Ale to już później. Więc to było ten. I tam ona to jedno, nauczycielka jej, potem była druga jeszcze pani, która ten i ona zorganizowała to pierwsze nauczanie, a pozostali nauczyciele to byli z nominacji komendanta, bo tam nasz kapelan, czyli ten ksiądz, ale on zawsze mówił, że on jest

komendantem, on nie jest tam... On jest komendantem, taki wojskowy dryg nam wprowadzał, więc taki dla mnie to był pół ksiądz, pół kapelan. Ale był energiczny, pięknie śpiewał i tak dalej. Więc on też uczył trochę. I tam z nominacji tych opiekunek, które coś nie coś tam, jakieś, to nominował je tam na nauczyciela, "Ty będziesz historii uczyć albo tam czegoś, geografii, czy pani zna coś trochę tego?" "No, tam, no tak, tak, byłam tu, tam, tam, tego, to..." Potem trochę zaczęły dopływać pojedyncze przypadki przy jakichś tam naszych książek drukowanych na Bliskim Wschodzie, ale to bardzo mało. Mieliśmy jeden egzemplarz, na przykład nauczycielka miała i taki egzemplarz ja tam zachowałem, taki myśmy niektórzy, kilku chłopców przepisywało sobie cały egzemplarz historii, taki mi się zachował tam w IPN-ie, tam to pokazałem, zdaje się... teraz tam, oni tam fotografują czy coś, mojego kolegi Staśka, Polaka. Z rysunkami tam z tego, to taki, tak jak to w podręczniku były i to myśmy się z tego też i uczyli na początku. Albo i pamięciowo. A potem zaczęli to trochę więcej było tych podręczników. Tak że szkoła tam zaczęła i była potem już, w 1944 roku przysłano z wojska nam jeszcze dwóch nauczycieli. Jeden to właśnie był pan Maniak, to był jeden z takich zawodników lwowskiej Pogoni, który był w wojsku i drugi był, to był taki sportowiec, a drugi był historyk, pan, który uczył nas potem historii. Starszy taki pan, który w wojsku tam był mało przydatny i tak dalej. Natomiast Maniak miał za zadanie nas właśnie fizycznie wszystkich doprowadzić do jakiejś tam, jako tako i to mu się udało. On nas tam cisnął, co biedowały tam dziewczęta, bardzo sobie szkodowały, bo on gonił wszystkich, był ostry. Tam nie było zmiłuj się, wszyscy musieli ćwiczyć, wszyscy musieli rano wstawać i tak dalej, a on też nas tam... Ale on był taki lwowski baciara, jak to mówił: „Ja jestem taki baciara lwowski”. Nauczył tych piosenek, nie zawsze takich przyzwoitych. Tak jak tam te baciary, także... Bo myśmy go lubili. On był takim naszym starszym kolegą, chociaż tam znowu, żeby tam gonił. Ale do sportu, do tego nas nie trzeba było namawiać, do piłki nożnej, to myśmy wszystko tam, on zorganizował tam, stadion sobie wybudowaliśmy tam, na takim półkamienistym terenie, ale wyrównanie tam, mieliśmy tam bieżnię, mieliśmy piłki siatkowej, koszykówki i tak dalej. On był taki wszechstronny, nawet skakaliśmy o tyczce bambusowej, wtedy jeszcze się na tyczkach bambusowych skakało, w sporcie też na początku tyczki bambusowe i tak dalej. I on nas tam uczył. I on doprowadził nas faktycznie fizycznie do takiej sprawności. A jeśli chodzi o naukę, to też potem już zaczęła się na coraz wyższym poziomie. Ja już tam szedłem do gimnazjum. Pierwszą gimnazjum jeszcze tam kończyłem w tym. I następna sprawa, harcerstwo, które u nas tam było, pani Druhna, ta Janka, ona świetnie to zorganizowała i nas... Ona była odważna też i tego, robiła nam ćwiczenia nocne w trudnych warunkach. To nie jest tak, że nas tam oszczędzała czy tego. Nie. Musieliśmy się czołgać po tym w nocy, po tej trawie. Tam nie wiadomo, czy skorpion nie wylezie, czy tego. Ona była taka też... Ale była bardzo taka wymagająca. Była bardzo sympatyczna, miła. Zresztą taka jak kobieta to była bardzo atrakcyjna, ale to, co

tam chłopcy, to niektórzy, nawet ci starsi, podkochiwali w niej, tak że... Ale ona była bardzo taka. Ale ona nam nie opowiadała o swojej tej przeszłości. Myśmy dopiero później dowiedzieli o jej tragedii. Tak że to była... Tak że ona zorganizowała to harcerstwo świetnie. Ja miałem swój zastęp Sokołów, najpierw z zuchami, potem miałem tu swój zastęp Sokołów, który tam prowadziłem. Zresztą bardzo ciekawych chłopaków miałem, moim podpieczonym Janek Bielecki, to jest prawnuk Marii Konopnickiej. To był w moim zastępie. Był Jurek Sito, który potem był tutaj znanym takim szekspirologiem i tu w Polsce wrócił kiedyś, wrócił do Polski i tu był chyba dyrektorem literackim chyba Teatru Wielkiego, czy teatru, w każdym bądź razie tu w Warszawie, i szekspirolog. Tłumaczenia jego są tam. Tak że to był ten. Potem w moim zastępie był też taki Karol Fajarczuk, najmłodszy z czterech Fajarczyków. Oni byli w wojsku. Jeden był w junakach, drugi w wojsku, a ten najmłodszy, jego matka, ojciec tam zginął, a matka oddała go do sierocińca i on był u nas. Ale to potem po wojnie okazało się, że spotkali się ci bracia wszyscy, jeden był polskim pilotem w dywizjonie bombowym chyba, drugi był saperem w walkach pod Monte Cassino i tak dalej, a Karol był tu, ponieważ się ci bracia spotkali wszyscy i wyjechali do Kanady. Tam ojca brat był w Kanadzie, oni tam w Kanadzie. Ale on był, został tutaj, najpierw tam śpiewał ze swoimi braćmi, potem założył przedsiębiorstwo, jedno duże i był jednym z najbardziej znanych tam biznesmenów polonijnych tam tych, zresztą on tam ten kościół [niezrozumiałe,00:16:38] w Toronto, był jednym z fundatorów i tak dalej. Bardzo ciekawy chłopak. Zresztą on tam do mojej książki też tam napisał swoje wspomnienia. Właśnie powiem państwu taką ciekawostką właśnie o Karolu. Otóż jego brat, który walczył na froncie i po wojnie, skończyła się wojna, wrócił do Anglii, znaczy służył w Anglii i co dalej, już chciał wyjechać do Kanady tam do tego swojego wujka, ale tam Kanada nie chciała przyjąć, a w końcu ostatecznie zgodzili się, że on pojedzie tam. Zresztą nie tylko on, tam parę osób, ale na dwuletni kontrakt, że musi pracować, gdzieś tam w określonym miejscu pracować. Tak zresztą w Australii też tak było, taka sytuacja, że musieli pracować gdzieś w wyznaczonym miejscu przez określony czas. I on pojechał tam do Kanady, został przydzielony do takiej farmy, żona tylko prowadziła takie gospodarstwo, bo mąż zmarł i jego tam przydzielono do pracy na tej farmie. I okazało się, że jego szefem, takim szefem na tym gospodarstwie został Niemiec, żołnierz niemiecki, który nie wiem, czy też tam częściowo wyjechali, część z nich tam wyjechała do Kanady i on też został, pracował, ale on tam już był na wyższym stanowisku. On był tym takim prowadzącym tam całe to gospodarstwo i był jego przełożonym. I ten jak się dowiedział o tym, że ten syn, który tam niedawno walczył przeżył tragedię, tam starał się, co mógł, żeby tam jakoś i w końcu udało mu się z tamtym, znaczy załatwić, że go tam w końcu przenieśli, skrócili mu ten okres i oni tam potem, bracia, wspólne założyli przedsiębiorstwo razem i tak dalej, i tak dalej. Ale bardzo ciekawa taka postać, historyjka taka może a propos tylko. Tak że to było ten. Tak że ja... Wracając do tego harcerstwa,

to oczywiście ja tam swoją funkcję tam pełniłem i tak dalej. Natomiast jeszcze opowiem parę zdań o drugiej pani Dobrostańskiej. Pani Dobrostańska to była przed wojną aktorką w teatrze bydgoskim, jej mąż był dziennikarzem w Gdańsku. Jak się rozpoczęły tam te kłopoty w Gdańsku, w Polsce, on stamtąd musiał wyjechać, właściwie uciekać tam z Gdańska, bo groziła mu tam... Więc on akurat do Lwowa tam, w czasie wojny już tam przeniósł się z rodziną i tam został aresztowany, i z rodziną, właśnie z panią Dobrostańską i z dwoma synami został zesłany tam do Syberii. I on był aresztowany w Rosji, był w łagrach, i po uwolnieniu wstąpił do wojska, i był jednym z chyba, nie pamiętam, z siódmej chyba dywizji był, w tej dywizji szefem tej komórki, jak to tam się nazywała, nie wiem, ta komórka, ci, którzy prowadzili taką działalność oświatową, taką dziennikarską, takie komórki w wojsku, które on prowadził, taką tę komórkę. Ale niestety zachorował. Już tam będąc w Uzbekistanie zachorował na tyfus i zmarł. Tam został pochowany. Pani Dobrostańska została z tymi dwoma synami i ona dostała się... A, właśnie, i tutaj powiem ciekawostkę o tym doktorze Konarskim. Doktor Konarski, on został tam, dłuższy czas był w Teheranie. Nie w Teheranie, w Taszkencie. Prowadził tam tak zwany, założył tam tak zwane laboratorium, gdzie udzielał pomocy Polakom tam, którzy tam przebywali, wszystkim Polakom, ogólnie Polakom tam udzielał pomocy na tyle, ile mógł. Trochę on przywiózł tam z Indii, trochę tych lekarstw, trochę tego, tak że on ten. I on tam prowadził. Jak zmarł ten ojciec Dobrostański w wojsku, ten chłopak najmłodszy, Tadzik, zachorował ciężko i już był praktycznie prawie że na wykończeniu. I tam matka zwróciła się do tego lekarza, chociaż to było daleko od nich i ten doktor Konarski przyjechał. Siedział z nim, mówi, trzy dni i trzy noce siedział z nim, i go uratował, życie mu praktycznie. Tadzik do dzisiaj go wspomina jako niezwykle szlachetnego człowieka, który poświęcił się i mówi: "On mnie uratował". To tak a propos jeszcze doktora Konarskiego. Ja też mam wielką wdzięczność bezpośrednio sam, bo też jego... Tak że to jest... Więc tu pani Dobrostańska była aktorką i ona zwróciła się właśnie z tymi dziećmi tam do pomocy, tam w Aszchabadzie jako opiekunka dzieci. Zresztą z jakąś tam grupą jeszcze dzieci przyjechała, w Aszchabadzie. I ona się zajęła działalnością kulturalną. Ja z nią, tak się stało, że jej ten starszy syn pojechał jeszcze z pierwszym transportem, ale ten młody zachorował, młodszy, ten Tadzik, i był w ten, więc ona została z nim, a ten pierwszy pojechał pierwszy. I ona jechała z moim transportem, z nami jechała. I ona prowadziła od razu działalność kulturalną. Ona nas tam uczyła śpiewu, ona zaczęła nam... [niezrozumiale,00:22:38] zorganizowała i stroje, i tańce, i tam dalej w tymczasowym ośrodku zajęła się, i potem z nami przyjechała do Indii, i tam rozpoczęła też, w dalszym ciągu prowadziła tę działalność, taką już pozaszkolną, taką wychowawczą, zorganizowała tam tańce, tam różnego rodzaju, chór nawet, potem orkiestra, to ona nie grała w orkiestrze, ale tam była druga pani, która grała na pianinie, więc ona trochę tam... Ale nie mieliśmy... A, i właśnie orkiestra. Ja należałem też do orkiestry, zresztą tam byłem, takiej

młodzieżowej. Myśmy mieli instrumenty, ale nie było nauczycieli. W związku z tym Maharadża nam przywiózł z takiej jednostki wojskowej, marynarki indyjskiej. Tam niedaleko Oka. Dwóch nauczycieli muzyki, którzy tam w wojsku prowadzili te zespoły. I oni tak wszechstronnie prawie na wszystkich instrumentach potrafili grać i oni zajęli się naszą edukacją tych... Myśmy tam mieli ponad 40 osób w tej orkiestrze. 20 to takich na stałe, a tam niektórych dochodzących trochę tak na zmianę czasem i tak dalej. Tak że ja też grałem na kornecie moim ulubionym i z tym Staszkiem, który mi tam, książkę podarował, tę historię, mój najlepszy kolega tam w Indiach. I tak że myśmy tam, ona prowadziła wszechstronnie, tam prowadziła to tak, że myśmy byli zachwyceni jej działalnością. Ona szyła te stroje z tymi dziewczętami tam. Były urodziny Maharadży, syna Maharadży to tam żeśmy ufundowali, nasze osiedle ufundowało takie stroje, jeden krakowski strój dla syna Maharadży i dla córki Maharadży, taki, załóżmy, jakiś z Kujaw taki strój tam, załóżmy. Z tego materiału i z takich rzeczy, które tam były dostępne. I myśmy występowali też tak że i góralskie takie mieliśmy ciupagi, z bambusa co prawda, ale swoje takie różne rekwizyty. Ona była bardzo wszechstronna, bardzo lubiana i niezwykle taka organizacyjnie świetnie, tak że ona prowadziła tę naszą działalność kulturalną, taką pozaszkolną, wychowanie takie pozaszkolne. Tam różne kursy organizowała i tak dalej. Tak że to... Ja też zresztą w Balachadi skończyłem taki kurs antymalaryczny to tak się nazywa, mam takie nawet specjalne świadectwo, otrzymałem, bo to była cała komisja, bo był to trzymiesięczny. A myśmy, naszym zadaniem było, jak u nas wybuchła epidemia malarii w Indiach, tak jak to zresztą w całych Indiach, wtedy zachorowała, jak myśmy byli 50 milionów Hindusów, Indusów raczej bardziej, bo Hindusi to raczej religijne jest określenie, a Indusi albo Indyjczycy ja mówię czasem tak, wszystko jedno. Albo Indusi. Więc... Tak że to... Myśmy tam te stroje tam przygotowali dla tego syna i żeśmy wręczyli im, nawet daliśmy mu czako krakowskie z tym piórem i oni się dziwili co on, dlaczego pióro, skąd nasze pióro naszego tutaj, mówi, naszego ptaka, ale tak było. I strasznie im to się podobało. A Maharadża to był dobry na wszystko. To był nasz taki ojciec. Dla nas to był naprawdę taki typowy ojciec, który nam zastąpił naszych ojców. Kiedy przyjeżdżał to dla nas było wielkie święto. On zawsze często przyjeżdżał, bo on miał swoje obowiązki, był przewodniczącym Rady Książąt Indyjskich. W Indiach była taka dwuwładza trochę. Część księstw indyjskich, bo tam było mnóstwo tych księstw, niektóre miały swoją jakby taką, nazwijmy to, pewną wolność, Indie były taką kolonią praktycznie, ale oni mieli swoją niezależność taką. I on był przewodniczącym rady tych książąt indyjskich, którzy właśnie mieli tę taką dodatkową... Tam byli bardzo bogaci i tacy średni, bo tam różni byli ci maharadżowie. Oni wszyscy byli super bogaci. Więc on był przewodniczącym rady książąt indyjskich, a jednocześnie w Indiach był przedstawicielem Indii w radzie wojennej w Londynie. W radzie wojennej w Londynie, jako przedstawiciel jeden z dwóch przedstawicieli z Indii. I on spotykał się tam z generałem Sikorskim. Stąd on

zapropował Sikorskiemu właśnie, że on przyjmie te polskie dzieci, 500 dzieci na początku, a potem drugie 500, a by chciał więcej. Ale ta epidemia troszkę przeszkodziła, u nas w tym regionie wybuchła ta epidemia malarii, więc troszkę tam były kłopoty. Ale myśmy tam przezwyciężyli w końcu. I teraz ten Maharadża to oczywiście, jak zapropował, tak i dotrzymał słowa. Zorganizował i to było nasze osiedle w Jamnagarze, w Balachadi, ten sierociniec polski, przez który przeszła tam, różnie tam, mówię, 600-800, około tysiąca dzieci, bo tam przyjeżdżały, wjeżdżały dzieci, więc to trudno tam to wszystko jakoś dokładnie policzyć. W każdym bądź razie to było tak, że on zorganizował, między innymi, on tam wspólnie z naszym konsulem generalnym w Indiach i tam jeszcze z władzą, jakimś biskupem, arcybiskupem indyjskim i tam gdzieś z rządu indyjskiego stworzyli taki fundusz pomocy polskim dzieciom i utrzymanie naszego osiedla tam w Indiach, w Balachadi to było nie ze środków naszego rządu, tylko ze środków tych społecznych, zbieranych właśnie tam na ten fundusz, na który opodatkowali się pod wpływem Maharadży, jak on był szefem ich, to oni się tam, niektórzy... I oni wyznaczali różne sumy tam, ile będą płacić na utrzymanie polskich dzieci. Niezależnie od tego, inni ludzie też wpłacali na ten fundusz, przedsiębiorstwa indyjskie albo prywatni ludzie i myśmy byli utrzymywani ze środków społecznych. Na to rząd polski, bo tak Anglicy zażądali, że powiedzieli, ale jeżeli będzie brakować, to rząd musi dopłacić. Nasz rząd takie zobowiązanie podjął, zobowiązanie w stosunku do rządu indyjskiego, ale to formalnie przecież przedstawiciel Anglii był szefem rządu, wiadomo, więc to wiadomo było, że tam oni zarządzili. Niemniej tego nie, taka potrzeba nie zachodziła. Tak że myśmy byli utrzymywani wyłącznie, to jedyne osiedle polskie, bo tych osiedli polskich za granicą bardzo wiele, ale to jedyne, które było utrzymywane ze środków społecznych społeczeństwa indyjskiego. To była ta zasadnicza różnica. Teraz może powiem parę słów jeszcze o tej różnicy. Ja byłem w jednym i w drugim osiedlu. To drugie osiedle to była dla rodzin wojskowych, dla matek bądź rodzin w ogóle całych, bo tam były starsze osoby, i dzieci były, wiadomo, matki. Ale to były rodziny wojskowe, bo tylko taka ludność cywilna mogła wyjechać z wojskiem, być ewakuowana. Ci, którzy nie mieli kogoś w wojsku, my byśmy nie wyjechali, bo nie mieliśmy nikogo w wojsku. Ale dzieci, to już Anders o to zadbał, że Anders postawił warunek, skoro jest tyle polskich sierot, tam w Uzbekistanie i w tych regionach, to muszą być one też wyewakuowane, dlatego myśmy wyjechali i jako pierwsi wyjechaliśmy z Rosji czy tam z okupacji rosyjskiej na zewnątrz. Tak to, jeśli chodzi o Maharadżę. Poza tym... Jeszcze wrócę do osiedla. U nas znaczącą rolę odegrali pracownicy indyjscy, którzy pracowali. Połowa personelu mniej więcej była indyjska. Byli lekarze, mieliśmy trzech lekarzy, dwóch właśnie takich lekarzy, swojego tam jednego z lekarzy, to tam do nas skierował i drugiego potem, taki lekarz trochę farmaceuta, trochę lekarz i jeden przyjechał też z Delhi, jak była ta epidemia malarii, to został przysłany z Delhi, taki specjalista od chorób, od malarii i on tam właśnie prowadził ten kurs

antymalaryczny w którym ja uczestniczyłem zresztą. Tak że to była taka obsługa. Byli pracownicy rzemieślnicy, tam z pobliskich okolic i [niezrozumiałe,00:32:12], tamci tacy pracownicy prości do sprzątania. Obsługę tam trzeba było, tam trzeba pracować i tak dalej. To wszystko było zorganizowane i to oni stanowili połowę tego. Myśmymy się z nimi... A, i kucharze. Kucharze, ponieważ bardzo myśmymy tam nie byli początkowo przyzwyczajeni do tego jedzenia indyjskiego, więc maharadża nas prowadził z kolonii portugalskiej Goa w Indiach, jest taka kolonia. Zresztą piękny tam region, piękne, wspaniałe to jest region. To była kolonia. Jeszcze do dzisiaj to ona tam, pozostałości zostały, więc on sprowadził tam siedmiu takich kuchcików, którzy tam już byli obeznani, bo oni już byli tam, byli, służyli tam, obsługiwali tych Portugalczków, tam była duża kolonia portugalska, więc oni już byli obeznani i oni u nas pracowali. Byli zatrudnieni i tam pracowali. Nadzór nad nimi miała pani Tarnogórska w tym dziale takim gospodarczym. Ona prowadziła całą tę sprawę, co było niezmiernie ważne. Proszę sobie wyobrazić, że Indie, gorący klimat tropikalny, tropik, tam myśmymy nie mieli żadnych urządzeń. W naszym obozie nie było elektryczności. A takie temperatury, jakie są, to państwo wiecie. I 40, i 50 stopni może być, bywało. W związku z tym mimo tego nie było tam u nas żadnych zachorowań z tego tytułu, jeśli chodzi o wyżywienie. Jak daleko musiało być to wszystko zorganizowane, jak mamy, założymy, w osiedlu jest tysiąc osób, wyżywić codziennie, dostarczyć, nakarmić, zakupy zrobić i tak dalej. To jest olbrzymie przedsiębiorstwo logistyczne. Myśmymy tam... A, i właśnie, tu jeszcze było dwóch takich innych pracowników. Jeden to był Hindus, ale wyznania tej staroiranijskiej takiej, staroperskiej takiej religii. Ci, co tam mają te wieże, gdzie oni chowali te swoje na tych wieżach dla ptaków, dla sępów, które tam się tego, to jest taka religia. Ale on był bardzo sympatyczny, bardzo taki rzeczowy i on właśnie był głównym zaopatrzeniowcem. On załatwiał wszystkie dostawy tam, a codziennie musiał samochód, taką ilość przyjeżdżać i nam przywozić z miasta, bo myśmymy byli oddaleni od miasta jakieś 30 kilometrów, więc to było ten. Więc on był tym takim bardzo ciekawym. I poza tym był jeszcze, ważną funkcję spełniał w osiedlu u nas major Clark. Clark to był oficer, major brytyjski, który był jakby adiutantem czy sekretarzem naszego maharadży. Maharadża był w randze generała, więc on był jakby jego adiutantem i takim łącznikiem. On i jego żona łącznikiem między naszym osiedlem a rządem indyjskim. Oni tam prowadzili wszystkie fundusze i tak dalej, które... Bo tymi funduszami... To były społeczne fundusze, to jednak Anglicy postawili łapę, to wszystko musi przez nasze ręce przechodzić. Stąd maharadża wywinął się, on już nie wpłacał pieniędzy na utrzymanie nasze, tylko on nieoficjalnie, jak przyjeżdżał do osiedla, to przywoził tysiąc i jedna rupia dla nas na działalność kulturalną czy tam jak, on to wszystko jedno nazywał. To było potrzebne na różne nasze potrzeby takie wewnętrzne. A ta jedna rupia to była zawsze, pytali się go, a dlaczego jeden? Bo to jest zadatek na następny tysiąc. Taki to był nasz ten maharadża. Dlatego

myśmy mówili, że "nasz". Dla nas to był nasz maharadża. Dlatego jego nazywałem naszym polskim maharadżą, bo on był taki, to był taki człowiek. Tak że tutaj to właśnie on to sprowadził, tego lekarza, jak była malaria, do na do osiedla i tak dalej. Był po prostu taki, mam tam jego korespondencję, bo korespondencja naszego komendanta, który o nim pisze, że to był taki dobry człowiek z dobrej ziemi. To był nasz, mówi, taki wielki nasz polskich dzieci opiekun, ojciec nasz zastępczy. I stąd mamy do niego niezwykle sympatyczny stosunek. Do niego i do jego rodziny. Tak że dotrzymujemy te kontakty z tymi Indiami do dzisiaj. Ja już ostatni raz byłem, może tym zakończę, ostatni raz byłem w Indiach, byłem sześć razy w Indiach na tych swoich terenach, tam, gdzie nasze było osiedle, tam, gdzie nasze było osiedle, tam jest teraz indyjska szkoła [niezrozumiałe,00:37:34] school to jest taka kadecka szkoła, bo teraz to już jest blisko granicy z Pakistanem ten region, więc tam to jest szkoła kadecka na tym terenie i ta szkoła przyjęła naszą tradycję naszej szkoły, naszego harcerstwa, bo byliśmy też tak trochę półwojskową, nazwijmy to i oni przyjęli to jako tradycję dla swojej szkoły. To jest ciekawe. I my tam jeździmy jak do... Oni nas tam witają zawsze, cieszą się, jak przyjeżdżamy, nas tam goszczą, bo to nawet mówią: "O, mamy swoich gości". Ja mówię: "Nie, nie. Wy nie jesteście, ja tu byłem wcześniej od was, nim tu była szkoła, to myśmy tu byli, to było nasze osiedle, to był nasz teren. Myśmy go wydzierżawili do końca życia to będzie, dopóki żyjemy, to wspominamy, to będzie w naszych sumieniach, to jest nasz teren. A ty jesteś gościem". On się uśmieł: "O, tak, masz rację". Tak że to mamy takie stosunki. A z dziećmi maharadży mamy kontakty z synem. Byliśmy, to zawsze go odwiedzamy, jak jest tam, teraz choruję tam, ale... I tę jego siostrę starszą Hersza kontaktu, właśnie dla których robiliśmy te stroje, jak byliśmy tam, spotkaliśmy się z Hersza, to Hersza nam przyniosła właśnie ten strój, który ona otrzymała i ten jej brat otrzymał te stroje, które kiedyś żeśmy tam, kilkadziesiąt lat wcześniej, bo myśmy byli w 1985 roku, tam przyjechaliśmy i ona nam przyniosła, pokazała te stroje i dała taki sznurek koralików z tego, mówi: "Bo będziesz miał na pamiątkę", bo to były takie stroje z tymi koralikami. Takie różne. Tak że to z nimi utrzymujemy takie kontakty do dzisiaj. Tam zresztą z innymi też Hindusami, a już z tym lekarzem, jak pojechaliśmy do Indii pierwszy raz, w 1985 roku, zresztą na zaproszenie indyjskiego burmistrza Jamnagaru. To jest miasto stołeczne tego stanu, kiedyś to księstwa, teraz jest stan. Już nie jest teraz stołecznym, ale był wtedy stołecznym, takim miastem tego księstwa, więc tutaj, tak że ten burmistrz tego, jak przyjechał tu w jakichś celach handlowych do Polski, i tak żeśmy się spotkali w takim towarzystwie polsko-indyjskim i on przyjechał tutaj, i coś padło słowo Dżanagal. Ja mówię: "Dżanagal?". I tu zaczęło się tego. Ja jestem... "A skąd wy znacie?". "A, tam byliśmy". A on nie wiedział o tym, że to było tam kiedyś, bo on tam później przyjechał. I powiedział: "Tak". To jego poprosił, żeby dać... Poślałem mu tam te zdjęcia, tam jakiś artykuł, on tam opublikował, rozgłosił to. I potem nas zaprosił dziesięcioro nas pojechało, ośmiu nas oryginalnych tutaj

tych naszych dżanegalczyków, żeśmy... Bo myśmy tu w Polsce założyli klub dżanegalczyków. Tutaj ci, którzy tutaj byli w tym osiedlu koło Dżanagalu. To osiedle w Balachadi, ale myśmy Dżanagal. Więc myśmy założyli ten klub. On nas zaprosił do siebie i gościł nas tam przez miesiąc czasu. Dał nam samochód, wyżywienie. Tam mieszkaliśmy na jego farmie. Dał nam tam kierowcę do dyspozycji, obwoził nas i wszędzie mówił: "O, to są moje dzieci", chociaż był młodszy od nas. On mówił: "To są moje dzieci z Polski". Bo mówi: "Skoro ja jestem burmistrzem, to jesteście wy, tak jak mówi Maharadża, uważam was za swoje dzieci, bo skoro jesteście moimi gośćmi, to jesteście ten..." I tak to... I tak żeśmy się z nim też zaprzyjaźnili. Bardzo ciekawy, fajny człowiek. Tak że on i jego żona też, tak że to takie były nasze kontakty. I tam jeszcze z innymi. A z tymi lekarzami naszymi to żeśmy się spotkali już właśnie w 1985 roku pierwszy raz, a potem jeszcze później, i oni strasznie witali, a ten Dżosi jeden z tych lekarzy, zresztą oboje też dosyć dobrze mówili po polsku, nauczyli się, a Dżosi to właśnie, jak zobaczył nas, to najpierw się popłakał, a potem, ten drugi też i mówi, że: "Witam - jak on to powiedział - witam polskie dzieci" czy z Polski, coś takiego, jak tak nas zobaczył. Jeszcze po polsku umiał. Tak że to było dla nas niezwykle wrażenie. On się popłakał. A myśmy pokazali mu zdjęcie. Mu tam pokazaliśmy zdjęcie nasze, kiedy on jest właśnie na tym zdjęciu w 1942 roku i to dla tego syna, i dla niego to było wielkie zaskoczenie, skąd się takie zdjęcie znalazło i tak dalej. Tak że... I myśmy... Potem nawet oni zmarli, jeden i drugi, a temu lekarzowi, który już tam prowadził taki indyjski, taki szpitalik, to myśmy, jak byli w tej wyprawie do Indii, to żeśmy tam zostawili coś, mieliśmy jakieś tam parę dolarów. Parę dolarów to tam dla nich też były wtedy wielkie pieniądze. Myśmy sami nie mieli. Tak że to tak... I ci synowie teraz, jak przyjeżdżali, teraz byliśmy w tym, to zawsze nas obcałowują. "Przyjedź do nas, zawsze tu masz wszystko. Ja ci zawsze, ja cię traktuję, mój ojciec zmarł, ale ty tak dobrze mówisz o ojcu, tak go wspominasz dobrze. To jesteś naszym człowiekiem" zawsze i to... Tak że... Jak wyjeżdżaliśmy tam, to ja zabrałem, kilka razy jeździłem z córką, z Agnieszką do Indii i moja córka miała wtedy 15 lat, jak pierwszy raz pojechała i ona pokochała Indie. Indie to można albo pokochać, albo znienawidzić. Albo wszystko cię razi i wszystko cię tego, albo ty zobaczysz pięknych ludzi również tam, wspaniałych. Tam jest i dużo zła, i tak dalej, ale też i wielu, wielu wspaniałych ludzi, bardzo serdecznych i bardzo fajnych ludzi. Ja mam... Zwłaszcza w tym regionie [niezrozumiałe,00:44:03] To jest taka jakby enklawa, taka bardzo ciekawa. Tam prohibicja obowiązywała, nie wiem, czy jeszcze dzisiaj obowiązuje i to był wegetariański stan. To jest bardzo ciekawe. To były te dwa połączenia. Zresztą tam z [niezrozumiałe,00:44:19], Aszram i tak dalej, to był bardzo ciekawy stan taki. I jego historia trochę taka podobna do historii polskiej. Tam też była ciągle najeżdżana i tak dalej. Tam te wioski, każda wioska miała swoją wieżę obronną, miały swoje mury takie, jakie tam mogli, tam taka wioska mogła mieć, jak się zbliżało, to oni tam zamykali się w tej, jak tam były takie mniejsze

watahy, tam ich napadały, tam rabunkowe, to oni mieli swoje zorganizowane. Tam był taki ciekawy naród, taki dzielny naród właśnie, który ciągle walczył o swoją niepodległość. Bo tam najeżdżali ciągle z północy ci wrogowie. To bardzo fajne. Tak że bardzo ciekawe środowisko. I takie to moje te, do tej pory utrzymywane. A, ostatni, miałem powiedzieć ostatni, byłem w Indiach ostatni raz z Agnieszką jeszcze, bo z żoną też byliśmy, ale nie w Jamnagarze tylko w tym drugim osiedlu, w Kolapurze tam. To jeszcze parę słów może powiem o tym. Więc myśmy, nasza ambasada i przy współudziale tej reżyserki, która pokazywała „Małą Polskę w Indiach” ten film, oni zorganizowali takie spotkanie tam. Nas tam zaproszono i nas pojechało tam też sześć osób. Sześć, siedem osób, pojechali z tych dawnych, tych, którzy z osiedla i tam, jak był listopad 2018 roku, teraz 2018 roku, gdzie była uroczystość podniesienia polskiej flagi w związku ze stuleciem odzyskania przez Polskę niepodległości. Tam żeśmy obchodzili, oni nas tam pięknie przyjęli i zrobili nam piękny taki ubaw, piękne spotkanie mieliśmy na terenie tej szkoły, gdzie właśnie na terenie tej szkoły była podnoszona flaga indyjska, flaga polska, potem myśmy tam hymn śpiewali. Ja tam miałem swoje przemówienie, tam trochę po polsku mówiłem, trochę tam po... Ale nieważne. W każdym razie tak żeśmy obchody stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości w małej Polsce w Indiach żeśmy obchodzili. I też z tego jestem dumny. Ta mała Polska przetrwała. A teraz parę słów jeszcze o osiedlu Valivade. Jak powiedziałem, to osiedle było dla dorosłych i dla rodzin wojskowych, w których ktoś tam miał wujka czy brata, czy siostrę, wszystko jedno, kto tam był w wojsku, to on miał szansę tam wyjechać. Ale to był typowo obóz taki, jakich było wiele na osiedlu w Afryce czy w Meksyku i tak dalej, to były te polskie. W Nowej Zelandii i na Bliskim Wschodzie, i tak dalej. Tam były te polskie osiedla różne, czy ośrodki. Tam myśmy zostali przeniesieni, jak już po wojnie, w 1946 roku z naszego osiedla, to skupiano wszystkich w jednym miejscu, bo wojna się skończyła, rząd na emigracji został już nieuznany, już uznany rząd lubelski, jak to się mówiło. Tak że to... I w tym osiedlu mam troszkę taką, myśmy mieli taki trochę pewien żal do tego, bo nas... Tu byliśmy wszystkim. Wszystko się życie kręciło wokół nas. To było nasze osiedle, to byliśmy my, to była nasza rodzina. I ja się tam znałem z kolegami, z klasy mojej ja znam wszystkich na pamięć, wszystkich znam z nazwiska, imienia, każdy, co robił i gdzie pojechał i tak dalej. Z nimi w większości utrzymywałem łączność ze wszystkimi. Myśmy się żyli. Ta sierocość nasza, ta nasza wspólna niedola tak nas scementowała, że to prawdziwa rodzina powstała, naprawdę prawdziwa rodzina. Taka mała Polska w Indiach, gdzie myśmy dbali o polskość, w ogóle całe. I teraz tam, jak prowadzono nas tam, tam był sierociniec, ale tam on się nie nazywał sierociniec, tylko to był zakład wychowawczy. To był w zasadzie dla młodzieży, która... W większości to były dziewczęta, tam nawet starsze dziewczęta, które albo miały kogoś, mogły mieć w wojsku albo nie, albo nie miała, sama była, jeszcze nie dorosła i tak dalej, to wymyślano tak zwane zakłady, w zakładzie wychowawczym. Dla mnie to

było szczególnie takie obraźliwe trochę. Dla mnie zakład wychowawczy to coś, co wyglądało jak zakład poprawczy. Coś w tym rodzaju. I to osiedle nie wchłonęło nas, ale wróciło w tym zakładzie wychowawczym. I te struktury nasze, które myśmy mieli tu w osiedlu Valivade, wszystkie, struktury harcerskie, zespoły, orkiestra i wszystkie zespoły taneczne, chór i tak dalej. Wszystko zostało rozczłonkowane, rozpacyfikowane, rozmieszczono nas po różnych tych. To było większe osiedle i myśmy stracili swoją jakby tożsamość. Ja nie powiem, bo ja sam osobiście akurat trafiłem z moim zastępem do zespołu, do drużyny Jurka Krzysztonia. Jurek Krzysztoń to jest bardzo ciekawa postać, nie wiem, czy państwo żeście kiedyś słyszeli o nim. To był człowiek, młody chłopak. Zresztą w moim wieku, może troszeczkę, parę miesięcy starszy, który był moim drużynowym w tamtym osiedlu, ale to przeżył tragedię w Teheranie, gdzie spotkał się z księdzem Pruszkowskim tam, późniejszym księdzem, bo nie wiem, ksiądz Pruszkowski wtedy jeszcze nie był księdzem, tylko żołnierzem, ale w Teheranie się spotkali, i Jurek jechał samochodem jakimś wojskowym, tam gdzieś przewozili. Gdzieś tam po mieście. I z przeciwka jechał inny samochód, i tak blisko przejechał, a on miał rękę tak, ten, i strzaskał mu tę rękę. Miał amputację ręki. Jurek, wybitnie zdolny chłopak. Tragicznie to przeżył. On też był na Syberii i tak dalej, to jest inna historia. Ale był jednocześnie bardzo inteligentny, bardzo czytany, wysportowany, świetnie... ale ta ręka ciągle była dla niego... On przeżywał na tym tle, to życie jego było, ciągle brakowało mu tej ręki jak jego oczu. On po prostu ciągle się... On miał potem już takie stany, zresztą pisał, napisał piękną, miał takie psychiczne jakieś załamania nawet, to był nawet w szpitalu trochę przez pewien czas. Opisał to zresztą w swojej takiej pięknej trylogii, tutaj to mam to też, to taka to jest nieomal, jak podręcznik psychiatrii. Tak to traktowano, jak jedna z wybitnych dzieł, to jest bardzo, tam opisał właśnie i pobyt, i jego lęki takie. On potem miał, lękał się właśnie i te wspomnienia jego nałożyły się na te jego... I tak Jurek... Ale był niezwykle z kolei towarzyski. Chłopak taki, no, on mnie dopingował tak samo, ja tam skończyłem kurs intrologatorski tam w Indiach, on mnie namawiał, on nas wszystkich namawiał, wszystkich, żeby tam cokolwiek, czegoś, jakiegoś zawodu się uczyć. Bo mówi: "Bo tu nikt na was nie czeka specjalnie". Więc Jurek to był taki mój jeden z bardzo... Zresztą przyjechał tu do Polski, tu prowadził w polskim radiu, różne miał programy takie dla młodzieży, takie w sprawie, bo on był i poetą, i tam pisał książki swoje, napisał szereg książek, napisał pierwszą książkę o Indiach. Właściwie nie o Indiach, o naszej emigracji. To jest pod tytułem "Wielbłąd na stepie". "Wielbłąd na stepie" to był pierwszy w PRL-u jeszcze wydany. On miał... Wodził się z tym, nie chcieli mu tego wydrukować, bo to Rosja, bo to ten... Więc mu tam to ciągle dokuczali, nie chcieli. W końcu ostatecznie okrojona [wersję] wydali. To jest pierwsza książka właśnie o Polakach w Rosji, którą... To jest "Wielbłąd na stepie". On był na stepach, on był na właśnie stepach kazachstańskich. Stąd jego... Tak że to jest Jurek. Tak że to był ten. Tak że tam mają bardzo fajnego

takiego przyjaciela. I księdza Peszkowskiego, który był u nas instruktorem harcerskim czy też delegowany z wojska wtedy jako oficer. On i drugi, Pancewicz, druh Pancewicz. Oni zorganizowali harcerstwo. Też to było z myślą, Anders, bo nie wiadomo, jak tam te losy się potoczyło, ale było dużo tu młodzieży, dorastających chłopców i oni zostali, którzy by właśnie i fizycznie, i przygotować tę młodzież tam, nasze harcerstwo w Indiach było podporządkowane takim, coś w rodzaju jakby kadeci, ale to... Było to harcerstwo, stąd nas tam, że tak powiem, było to dla nas, dla chłopców bardzo fajne, bo myśmy to, bardzo chętnie się do tego garnęli, te wycieczki i tak dalej, tam wszystkie wyjazdy, rajdy kolarskie i tak dalej, to myśmy wszystko urządzali. Tam mieliśmy bardzo takie ciekawe życie, ale od strony takiej naszej psychicznej, to ja miałem tam trochę taki zawsze... No, zamiast swoich kolegów miałem tu nowych kolegów, których tam nie znałem. Oni wracali po tych lekcjach do swoich domów, bo każda rodzina tam miała swoje mieszkanko tam w Valivade, w tym drugim osiedlu. To była zupełnie inna struktura. Każdy, bo rodzina dostawała swoje pieniądze na utrzymanie określone, na każdego członka rodziny określone i oni sobie tam żyli. A że mieli jeszcze dodatkowe wspomnienie od tych osób, które były w wojsku, mieli rząd albo tam, też tam dostawali jakieś pieniądze z domu, tak że oni prowadzili tu swoje mini gospodarstwa. Natomiast my byliśmy już w tym tak zwanym zakładzie wychowawczym, ale nie stanowiliśmy całości, tylko tak rozproszyliśmy się po całych tych, po tym całym osiedlu. I to było może z jakiegoś tam punktu widzenia korzystne, ale dla nas to było niedobre, bo myśmy stracili swoją tożsamość. Stąd ja tam mam dużo wspaniałych kolegów i tak jak mówiąc o Jurku i tak dalej, ale ta zadra to w nas tam pozostała taka, bo nie potraktowano nas tak jak tu. Tu się świat wokół nas kręcił, to wszystko było nam podporządkowane. Myśmy tu byli, grandziliśmy, dokazywaliśmy i tak dalej, ale to było w naszym sosie. I tutaj jak myśmy się potem zżyli, i nagle to zostało rozbite. I stąd nawet ten podział został do dzisiaj. Do dzisiaj on został. Ci, którzy nie byli, to nas potem całość, resztę, która została, tam przeniesiono, ale te więzy to już nie były te. To były już inne środowiska. Tam było dużo ludzi wykształconych i tak dalej. Nasza orkiestra też została tam częściowo rozbita i tam włączona tam, ale już zupełnie po innym kierunku. Ja grałem zresztą tam ostatni jeszcze koncert przed wyjazdem do Polski. Aha, miałem jeszcze dwa słowa o mamie powiedzieć, o Ryśku, bo to już nie będę tego ciągnął tematu. Mama i Rysiek przeżyli tylko dlatego, że spotkali na swojej drodze, po tym oni, okazało się, że jednak przeżyli. Wyszli... Ale nie mieli gdzie wrócić. Gdzieś tam się... Dopiero jedna z tych, która tam niedaleko mieszkała gdzieś tam spotkali ją. Jakaś Rosjanka, która była miejscowym pracownikiem fizycznym, tam była gdzieś, pracowała. I ona powiedziała, bo mama dała najpierw im zamieszkanie jakieś w jakimś tam pomieszczeniu, jakimś maleńkim. I pracę mamie zorganizowała tam trochę, ale pracę taką, jaką ona tam mogła załatwić. Mianowicie, tam mama...

N0087_kr_FINAL_3_3

Wiesław Stypuła: Ona pracowała, tam było wielkie... Jeszcze w Uzbekistanie, bo tam było, głównie tam była duża plantacja bawełny. Więc tam było, wywożono tę bawełnę i tam to wyluskiwano, i pchano tę bawełnę do worów takich, do transportu. To były stosy tej bawełny tam i trzeba było to nogami tam ubijać ten, bo musiał to określoną wagę, ten wór taki wielki do transportu, nogami tam mama musiała ubijać cały dzień, to było strasznie... Początkowo znowu się to tam podrepcze, ale to była ciężka praca, żeby wyrobić jakąś normę. To była taka. Ale to była jakaś praca w miarę nie taka jak fizycznie, tam musiała tam kopać czy ten, , ale potem mama już słabo też sobie już z tym radziła, bo to jednak była wyczerpująca bardzo praca. To ona załatwiła mamie sprawę taką, została mama strażniczką. Pilnowała tej przemy, tej wielkiej bawełny, przemy, bo tam kradli ci okoliczni, więc tam mama dostała taką, gwintówkę taką, stary karabin jakiś bez naboju z bagnetem i miała chodzić całą noc tam i pilnować, to była taka już lżejsza praca i to tego, ale to też już tam skończyło, a ona tam pracowała też tam fizycznie, tak że to w sumie to ona pomagała mamie, ale powiedziała mamie coś jedno, że tam w sąsiednim miasteczku, bo to już bardzo mały kontakt mama miała tutaj z Polakami, prawie nie było, więc powiedziała: "Tam jest jakaś grupa" I tam mama faktycznie tam załatwiła, że tam przeniosła się do drugiego miasteczka. I tam była grupa. I tam mama... Okazało się, że tam przyjeżdżał ten, od czasu do czasu jeszcze na początku taki delegat, jeszcze na początku. Jeszcze dopóki nie były zerwane stosunki. Ponieważ tam było też dużo dzieci takich bezdomnych i nie miał się kto nimi opiekować. Jak mama tam dotarła, to ten powiedział, bo mama była taką społecznicą przed wojną. Pracowała w Lidze Kobiet tam i tak dalej, była taka obeznana trochę, więc mówi: "Niech pani zorganizuje ten sierociniec dla tych dzieci". I mama jako samotrzec, miała tam 20 parę osób, tych polskich dzieci, takich sierot, które tam się błąkały, które tam gdzieś nie miały rodziców. I to były tam, tak jak mama mówi, było tam chyba ze 20 dzieci polskich i tam jeszcze kilka, dziesięć czy tam pięć osób, tam jakiegoś pochodzenia innego, żydowskie czy inne jakieś. I mama to prowadziła. I on tam, póki te były stosunki, to dostawała od tego delegata tam jakiś, jakąś zapomogę na utrzymanie tego, takiej właśnie, takiej... To było jedno pomieszczenie i taki jeden magazynek. I to był cały ten sierociniec. Tam taki, mówię, mama, co mogła, to tam wygospodarowała. I jak zostały zerwane stosunki, przyjechał ten, jakiś ten urzędnik, powiedział: "Od dzisiaj nie ma sierocińca". Rozwiązali, koniec, mówię, zamyka ten [niezrozumiałe, 00:03:33], ten magazynek, wszyscy mają się rozejść, to jego nie obchodzi, koniec. Nie ma, trzeba opróżnić ten lokal. Wyrzucili wszystkich na dół. Mama została tam

znowuż bez pracy i znowuż bez jedzenia, i tak dalej. I tutaj ciężko też nam było jej jakąś pracę znaleźć, taką dla jej, bo już była tak osłabiona po tych chorobach i po tym wszystkim. I tutaj spotkała znowuż inną Rosjankę, Rosjankę, albo może taka pół Rosjanka, nie wiem dokładnie, mama też nie potrafiła. I to mama mówi, Zina się nazywała. I ta druga Rosjanka też Zina. Tak się złożyło akurat, Zina. I ona mówi: "Pani tak tutaj cierpi, tego, nie ma pracy - mówi - ja postaram się znaleźć pracę jakąś gdzieś, może mąż mój załatwi". A jej mąż pracował, nie był w tym mieście, tylko pracował na tak zwanym pradchadstroj, a pradchadstroj to była wielka budowa, tak zwanej budowy komunizmu, tam zaporę jakąś budowali w górach tam, gdzie budowali ten nawodni tych, co tam oni zagospodarowali potem tam wzdłuż tych rzek, Amu-darii i Syr-darii, które wpadały tam do morza, do tego Arabskiego morza, bo oni tam zagospodarowali tereny, więc tutaj robili tę zaporę i zbiornik, i tam to wprowadzali, mieli doprowadzać wodę. I on tam był inżynierem, tam pracował. To był teren zamknięty, bo to była budowla przecież z komunizmu, tam było takie odludzie i tak dalej, więc... I tam ona napisała do niego i ten mąż posłuchał się żony, dobry i mówi: "Ja to spróbuję coś". I napisał list, proszę sobie wyobrazić, do władz miejscowych tego miasteczka, gdzie mama przebywała z tą jego żoną i dostaje mama zawiadomienie, że taka osoba ma się stawić tam do urzędu tego, więc pożyczyła mamie tam swoje ubrania, mama się ubrała, poszła do tego urzędu, a oni mówią: "Trzeba, w trybie pilnym pani jest wzywana na budowę tam do tego ośrodka, bo tam potrzeba takich specjalistów". Mama jeszcze nie wiedziała jakich specjalistów. Więc widocznie ten napisał, że tam potrzebuje jakiegoś specjalisty, który na waszym terenie, tamtym innym jest. Jak przychodzi do urzędu takie pismo, że jest budowa socjalizmu, może się zawalić, że trzeba przysłać specjalistę, to napisał ten list tam do tego urzędu i oni dali, wezwali mamę, dali na bilet dla mamy, potem dla Ryśka. Jedźcie budować ten socjalizm tam. Ten komunizm czy socjalizm tam mieli zbudować. I faktycznie mama tam przyjechała, i tam została zatrudniona jako pomoc kuchenna w stołówce tej budowli, ten specjalista od budowy zapór. Została... To uratowało mamie życie. Tam ciężko pracowała, bo w kuchni, takiej wielkiej kuchni na ten, ale tam miała wyżywienie, ale mieszkali w ziemiance. Tak też tam wielu tam mieszkało. Nawet w tej ziemiance, w której mama pracowała, był też jeden żołnierz, który na froncie tam stracił coś tam, jakoś był kaleką, ale był jakimś tam, na czymś tam się znał, był też pracownikiem i tam tak na nogę chorował też i tak dalej, ale on tam był, razem musieli tam tę ziemiankę dzielić, bo tam było tak, tak była. Bo to była ziemianka, to widzi pani, od ziemi łapana, z wierzchu jest tam przykryte i tak dalej. To całe to. Takie różne. I tam mama była. I tam dopiero w ten sposób uratowała się i mama tam była, nie mając żadnego kontaktu ze mną ani z tym, nie wiedziała, czy ja żyję, czy nie do 1946 roku. Dopiero mama zaczęła tam przez Czerwony Krzyż szukać i tak dalej, szukać, tam pisać i tak dalej, i gdzieś tam, gdzie można było jeszcze wtedy na początku potem, i te nasze się spotkały przez Czerwony

Krzyż, nasze spotkanie nastąpiło tam. Ja z kolei w Anglii składałem do Czerwonego Krzyża i tak dalej. Dostałem w końcu taką, bo jak byliśmy jeszcze w Balachadi, tam w tym pierwszym osiedlu, zostałem wezwany do komendanta i on mówi: "Masz tutaj takie wielkie szczęście". A ja mówię: "Co?" i on mi pokazuje taki, taki mały, mam zresztą taki podobny, moja mama też dostała taki z Czerwonego Krzyża, że taka i taka pani poszukuje takiego i takiego chłopca, i tak dalej i że tu mieszka, i tak dalej, i ten. No i to... I mama też to dostała. Ale mama już... I mama wróciła do Polski w 1946 roku dopiero, jak była wielka repatriacja tam, to jeszcze jak była Wanda Wasilewska, tam trochę załatwiała te sprawy, te powroty Polaków tam z tego, no, z nią można, ją różnie traktować, ale niemniej ona w tym akurat przypadku to miała jakieś tam zasługi, że ona mimo wszystko tam zorganizowała jakieś przyjazdy tych Polaków i stamtąd właśnie, z tego Uzbekistanu przyjechała, cały transport Polaków wrócił do Polski. W 1946 roku gdzieś tam w lipcu czy sierpniu, już nie wiem, tam gdzieś przyjechała mama. A ja byłem jeszcze wtedy w Indiach. I tam komunikowaliśmy się. Nawet miałem... Nasz ksiądz starał się tam gdzieś umieścić te dzieci nasze, swoich tych podopiecznych i tak dalej, i załatwiał. Tam trochę załatwił, tam kilka grup wyjechało dziewcząt do tego takiego polskiego ośrodka w Stanach Zjednoczonych, który ostatnio tam się tam trochę nie cieszy dobrą sławą. Tam, co były te różne przypadki takie. Tam takie, no, niezbyt ciekawe, ale to niemniej, to było wtedy, co jeszcze nic nie było wiadomo, w każdym bądź razie one tam znalazły, i tam 50 dziewcząt wysłał tam. Potem wyjechała grupa też jeszcze druga do chłopców też, potem część, reszta do ten. A ja miałem nawet też propozycję ewentualnie do Stanów Zjednoczonych, ale to tam się jakoś przeciągało albo musiałem mieć zgodę mamy, bo już miałem mamę, więc musiałem mieć zgodę jej, bo byłem jeszcze niepełnoletni i tak dalej, ale w końcu zdecydowałem, czy ja nie wrócę, mama wróciła do kraju to ja powiedziałem: "Ja też wracam do kraju. Ja jestem młody, wysportowany i silny, będę pracował i będzie to... I tak, i spotkaliśmy się w Sławnie, na dworcu kolejowym w Sławnie, bo przyjechałem też w lutym 1948 roku i tam z mamą i z bratem, i swoją siostrą stryjeczną odtańczyliśmy na dworcu w Sławie na peronie taniec szczęścia. Spotkaliśmy się po tylu latach w Polsce. Tak się zakończyła moja droga z Polski do Polski. Taką okrężną drogą. A potrwało to ponad sześć lat i objechałem wtedy kilkanaście tysięcy kilometrów, nim dotarłem z powrotem do Polski. Już nie tej Polski, która tam była przed wojną, ale tam mam tęsknotę do tamtej, do której tęsknię też Polski. Ciężko nam było, bo mama przyjechała w kufajce oberwanej i brat tak samo. Ja przyjechałem praktycznie bez niczego. Przywiozłem tylko dwa koce, które tam dostaliśmy jeszcze. Zresztą to akurat te australijskie koce, takie wojskowe dwa, to z tego, jak przyjechaliśmy do Polski, to mama... Już nie mama, tylko krawiec, który nie miał maszyny, ale szył ręcznie, uszył nam takie dwa paltociki. To były nasze ubrania, takie jak myśmy zaczynali, tak że to taki był powrót, a ja wracałem bardzo ciekawą drogą, bo przez tam z tego, z drugiego osiedla Valivade do Bombaju. W

Bombaju przesiedliśmy się na transatlantyk, taki był, kursował między Liverpooliem - Singapur. To było angielskie wojsko, miało tam swoje bazy i on zawitał, tam po drodze zawitał do Bombaju i stamtąd przywieziono nas do Neapolu. Tutaj przez Morze Czerwone, i przez Kanał Sueski do Neapolu, tutaj w Neapolu potem przyjechaliśmy pociągami do Rzymu, w Rzymie byliśmy tam z tydzień, trochę zwiedziliśmy nawet w takim obozie, takim tymczasowym, przyjechał transport taki z Polski, kolejowy i nas zabrano do Polski. I w Dziedziach stawiałem się, już właśnie po tych sześciu, ponad sześciu latach, a potem jeszcze... A to ciekawostka była, jak ktoś jechał do Polski, to tamci koledzy, którzy mieli jakąś rodzinę, to tam dawali jakieś paczuszki, to ja tam przywiozłem tu dla swoich znajomych, i rodzin, jakieś paczuszki. I tak się złożyło, że jedna z tych paczuszek była dla rodziny od pana Maniaka do jego rodziny, którą tu ma, on tu zostawił w Polsce swoją żonę i syna, a ten syn... I ja jej tam zawiozłem do Szczecina, bo w Szczecinie mieszkali, a ten syn, jak się potem okazało, był bardzo podobny w ogóle fizycznie do tego ojca swojego, i to był nasz złoty... Nie złoty, on zajął czwarte miejsce na olimpiadzie, ten sprinter, polski sprinter, Maniak, Wiesław, zresztą mój imiennik, Wiesław Maniak, on właśnie był tym jednym z naszych wybitnych sportowców w latach tam 60. To taka ciekawostka.

Julia Krajewska: Przypomniało się jeszcze...

Wiesław Stypuła: A jeszcze może pani jedno powiem.

Julia Krajewska: Dobrze.

Wiesław Stypuła: Przyjechało tu nas parę osób z kolegami, z moim tym kolegą Stefanem Bukowskim, z którym tu potem razem współpracowaliśmy, założyliśmy ten Klub Jamnagarczyków, ja byłem jego prezesem tam przez dziesięć lat praktycznie i przyjechała też pani, która zawiadywała tą naszą kuchnią tam. I ona tam była w Polsce, ona była aresztowana również z moim ojcem. Razem, bo razem pracowali w tej samej komendzie, okazało się, a to się dowiedziałem o tym, jak była jeszcze w Aszchabadzie tam w tym, posłyszała nazwisko "Stypuła", wezwała mnie do siebie: "Ty skąd jesteś?". Ja mówię, to coś powiedziałem. To z Równego, "Z Równego? A twój ojciec kim był?" A, no i... A, no, tak pracowali, gdzie pracowali? Ja mówię: "Na komendzie". "To przecież to jest mój kolega". Ona była tam urzędniczką w tym, ale była również aresztowana jako urzędnik i była też, miała, tak jak ona pisze mi wspólnie, bo mamy ich tam wspomnienie, że ona też miała karę śmierci praktycznie, ale jakoś tam ją... Ale ona była tylko urzędniczką. Nawet nie była... Tylko cywilna była. Ale była w więzieniu dłuższy czas i ona właśnie też tam dostała się do tego sierocińca tam w Aszchabadzie. Tak że to taka ciekawostka zupełnie i dlatego mam do niej sentyment, bo tu z nią utrzymywałem kontakty, to dlatego, że ona była ostatnim

człowiekiem, który widział mojego ojca, z którym rozmawiała na co dzień. Mam do niej taki, taki wielki miałem sentyment. Ona zmarła oczywiście, już dawno dosyć. To tyle.

Julia Krajewska: To mi przyszło na myśl jeszcze jedno pytanie, bo zastanawiam się, czy przez te powiązania z armią Andersa miał pan jakieś kłopoty później, czy wrócił do Polski, czy z edukacją, czy z jakimś...

Wiesław Stypuła: Ja... To tak się tam nie chwalił, bo nie lubię się tam chwalić, bo nie robię z siebie bohatera, ale troszeczkę poszedłem w ślady ojca. Jak przyjechałem do Polski, przyjechałem naiwny, wiadomo, to jeszcze chłopak nabuzowany, tak jak tam byliśmy w tamtym, no, tutaj jest... I z trudem dostałem się do liceum, bo miałem tam ukończenie z drugiej klasy, z trzeciej klasy liceum, półrocza nawet. I tutaj miałem się do gimnazjum dostać. Tu miałem wielkie kłopoty, bo nie chcieli uznawać tego świadectwa w ogóle, a był taki tam nauczyciel sławny, był taki bardzo taki, no, bardzo sympatyczny, ale taki zasadniczy, więc... Ale na taką rozmowę, mówi: "Dobrze, zatrzymam cię tutaj, bo miałem z nim rozmowę długą". Mówi: "Przyjmę cię..." I tam ostatecznie przyjął mnie. To był taki poznański nauczyciel, przedwojenny taki, ale taki, bo on... Ale przyjął mnie. I w klasie naszej, tam, gdzie ja byłem w Sławnie, było gimnazjum i liceum. Ja byłem w gimnazjum jeszcze, miałem wtedy... 18 lat dopiero ukończyłem. Później chwilę. A jeszcze wcześniej wstąpiłem do tak zwanej POW. Też. Tak się to formalnie nazywało. To była młodzieżowa harcersko-szkolna organizacja w Sławnie. Ja nie wiedziałem. To była bardzo zakamuflowana organizacja. I ja tam wbrew, że tak powiem, łamałem się długo, nie mogłem tego mamie powiedzieć, bo by mama dostała ataku, że ja się znowu w coś tutaj pałętam. I myśmy tam prowadzili taką działalność, a ja byłem młody, wysportowany, w naszej klasie i w ogóle cała młodzież tam wtedy, tam, która była w tym, to była cherlawa, jak to w czasie wojny, po wojnie, to było dużo różnych, przyjechało dużo zza Bugu, było różnych... W naszej klasie było dużo przerośniętej młodzieży, bo mieli parę lat przerwy i tak dalej, ale to była taka zbieranina. I do nas dojeżdżała grupa też uczniów z Darłowa, gdzie była nasza tam, oni tu przyjeżdżali do gimnazjum, do liceum, tam nie było. I tutaj tam ściągnął mnie jeden z tych chłopaków właśnie na taką rozmowę, mówi, że mamy taką tu organizację, czy ty byś chciał tego. Ja byłem trochę speszony, bo byłem trochę... Fizycznie odbiegałem, bo ja chodziłem, nie miałem w czym... Chodziłem w takim mundurku, jaki z Indii przywoziłem. To był już... Pseudo taki mundur. Taki, jak mam na zdjęciu. I byłem... I nosiłem beret. Wtedy to był to, już beret to wtedy to był już andersowiec, To już takie... Tak że miałem taką złą, że tak powiem, takie wejście, chociaż formalnie na początku, to początek sam był. Ale myśmy to, w ciągu... Udało się przekonać mnie to, zostałem przekonany, ale to było ściśle zakamuflowane. Ja praktycznie nie znałem nikogo z tych innych członków. Znałem tylko

jednego. Dwóch znałem tylko. Tego, który mi tam, mój kolega, ten z Darłowa, bardzo fajny, zresztą bardzo ciekawy chłopak. I mówi, że mamy taką działalność, taki mały sabotaż, małe takie ten, a ty będziesz, ty jesteś wysportowany, słuchaj, ty będziesz się zajmował wychowaniem fizycznym. Mnie powierzono wychowanie fizyczne. Ja miałem i w harcerstwie, bo ja wstąpiłem do harcerstwa też tutaj. Dlaczego? Jeszcze będąc w Indiach myśmy nawiązali, ja nawiązałem poprzez swoją siostrę stryjeczną, która była harcerką, to był jeszcze 1946 tam czy 1947 rok, to jeszcze harcerstwo było w miarę takie przedwojenne. Jeszcze struktury były takie odwzorowane. I ona należała. I myśmy korespondowali, ja korespondowałem z jakąś tam drużyną harcerską tu w tym Sławnie, tam. Przysyłałiśmy tam jakieś tam skauty takie. Takie rzeczy, które tam, takie jakieś tam znaczki, jakieś coś, coś, takie drobiazgi tam. I jak przyjechałem tutaj, to już niestety tego człowieka już nie było. Nie wiem, co się z nim stało, ale niemniej ja nawiązałem kontakt z tą drużyną znaczy z tym hufcem harcerskim i tam wstąpiłem, więc tam mnie przyjęli bardzo chętnie, bo ja byłem już, już miałem staż, już stopień ćwika miałem wtedy już harcerskiego, więc... Oni mówili: "To będziesz się zajmował też wychowaniem fizycznym". Bo tu jest bardzo, właśnie takich ludzi potrzeba młodych, którzy coś znają się, co umieją, dobrze się poruszają i tak dalej. I ja zostałem tak zwanym sprawnym od wychowania fizycznego. Jeździłem na ten, ale jednocześnie tu wstąpiłem do tej organizacji, tej tajnej. To była taka nie na wielką skalę, ale w sumie to było koło 60 osób, ale nie tylko ze Sławna, czy z Darłowa, ale też jeszcze z kilku innych. Nawet z Elbląga ktoś tam był, jeszcze tam parę osób, ale ja w ogóle nie widziałem. Z Koszalina taka struktura była. Bo tam nie było ściśle, takie było u nas obowiązywało, że nie spotykaliśmy się w ogóle w jakichś grupach, tylko jakieś zadanie, coś trzeba było zrobić i tam ktoś tam musiał to wykonywać i tak dalej. I ja tam też zostałem wciągnięty do tej, nawet byłem w jakimś tam zarządzie, nazwijmy to w cudzysłowie. Tam nie podpisywaliśmy żadnych dokumentów, za nami nie krążyły praktycznie żadne dokumenty. Mówiło się, a jeżeli coś było, jakieś ten, to trzeba było palić natychmiast i koniec. Tak że ja nie znałem nikogo praktycznie poza tymi dwoma. Mimo, że jak się potem okazało, kilku chłopców z naszej klasy było również, należało, ale też nie wiedzieli o mnie. Tak że myśmy się nie znali, bo znaliśmy się na boisku, graliśmy w piłkę, założmy razem, i w drużynie, ja grałem w piłkę nożną w drużynie takiej tej, tej już pozaszkolnej i tak dalej. A tutaj nie ten. I tam był taki mały sabotaż, tam bojkotowaliśmy, tam był film jakiś propagowany, tam zrywaliśmy jakieś, ale taki drobny ten, jakieś pisma tam rozkolportowaliśmy. A ja miałem między innymi, tam były jakieś, potem się okazało, były też grupy, jakieś obezwładnili jakiegoś, znaczy upili jakiegoś tam policjanta [milicjanta], jakąś mu broń odebrali. Takie drobne jakieś, założmy pseudo jeszcze takie działania o charakterze takim wywrotowym, nazwijmy to, jak to się mówiło wtedy. I to niestety, to trwało rok czasu, ta organizacja funkcjonowała, myśmy tam funkcjonowali. Bojkot jakiegoś

filmu rosyjskiego tam. I takie były drobne, takie rzeczy tam, żeśmy tam... A, w Darłowie tam jakąś łódkę ukradli wojskowym rosyjskim [radzieckim] tam. I takie, takie były drobne takie, myśmy tam prowadzili. A głównie było, chodziło o przygotowanie takie fizyczne dobrze, żebyśmy byli dalej, jak będzie potrzeba, bo mówiło się wtedy o trzeciej wojnie. Takie były wtedy te ten. I myśmy taką funkcję, rezerwy takiej jakby, nazwijmy to potencjalnie, tam tworzyli. Niestety to tam się wydało i jeden z naszych tam chłopaków się złamał i tam kilku, że tak powiem, których on tam wcześniej znał czy tego, w każdym bądź razie... I był proces, nas tam wszystkich wzywano. Wszystkich z tego. Chociaż nas wzywano całą klasą, bo tam nie... I były przesłuchania, byliśmy i tak dalej, i byliśmy, rozwiązano naszą klasę w ogóle, całą klasę i cudem się dostałem na studia dla starszych, na zaoczne, a potem kończyłem, musiałem kończyć. I starałem się potem... A, ten proces zakończył się dla kilku, tam było, skazani byli na kilka lat więzienia, nawet mój kolega z ławki, z którym siedziałem razem, z Cześkiem Wieliczką, który był też skazany chyba na półtora roku. A ja nawet nie wiedziałem, on nie wiedział, nie wiedzieliśmy o sobie nawzajem, że należymy do tej wspólnoty. Tak że to ma taki, trudno powiedzieć, czy jakiś chwalebny, ale jest jakiś epizod, o tyle ciekawy dla mnie, jak się teraz zastanawiałem, że poszedłem w ślady ojca mego, który też mając 18 lat wstąpił do podobnej organizacji, jak ja tutaj potem. Ale to taki nie jest znaczący, wielki tam, jakaś wielka martyrologia. Ale nie dostałem się za to do szkoły morskiej, bo ja chciałem do szkoły morskiej. Mnie ciągnęło w świat mimo wszystko. Mama się nie bardzo chętnie zgodziła, ale w Szczecinie był wydział nawigacyjny. Ja chciałem się tam dostać. Tam złożyłem papiery. Dużo tam trochę było takich jak ja, byłem wtedy po średniej szkole, to trzeba było złożyć egzamin, i dostać się najpierw do szkoły Jungów tak zwanych. To była taka grupa przed wejściem formalnie na studia. I co takie trzeba było. Ja tam zostałem zakwalifikowany. Sprawdzian miałem techniczny, wszystko było w porządku. Zdałem egzamin sprawnościowy. Zresztą znałem dużo węzłów harcerskich i tak dalej. To byłem takim już obytym chłopakiem. I dostałem zawiadomienie, wszystko, przyjęty zostałem, a potem po pewnym, po miesiącu czasu czy coś, dostałem pismo, zostaję skreślony z tego. I skończyła się moja kariera w szkole morskiej. Poszedłem, co prawda po linii wodnej, ale już w dziedzinie tutaj wodnego, budownictwa wodnego i melioracje tutaj już w kraju. I taka moja kariera poszła. Skończyłem studia średnie, potem wyższe, pracowałem w biurze projektów, zajmowałem się sprawami powodziowymi, a z drugiej strony, od strony przyrodniczej ochroną gleb przed erozją wodną. To, co tam gnębi naszą Lubelszczyznę i tamte tereny Sandomierszczyzny, gdzie jest wielka erozja, tam zabezpieczenie terenów i tak dalej. Byłem generalnie projektantem i tak dotrwałem do emerytury. Dlaczego myśmy przeżyli? Spotkaliśmy wielu ludzi z różnych narodowości. I wśród Polaków, i wśród tutaj, i Hindusi, i to Uzbek nam tam jeden też pomagał, i Uzbeczka, i Rosjanka, i Rosjanin tutaj, i jakiś dawny potomek Polski. A dlaczego właśnie, bo nie

powiedziałem o tym jeszcze. Może wspomnę. Jak wysiadaliśmy w tym Nowosybirsku z pociągu i nas prowadził ten oficer, ten żandarm oficer i mama zapłakana tam, już jak weszliśmy tam do środka, on się pochylił do mamy i mówi: "Niczywo, niczywo", bo mama dziękuje, go nieomal, wiesz, ścisnęła go. "Moja babuszka tożej z Polsko była". Czyli to był rosyjski jakiś dawny tam, czy zesłaniec, czy coś, już zruszczały, ale pamiętał jeszcze i stąd to, co on nam przyniósł te śledzie, to były jego jeszcze te dawne jakieś tam, od babci swojej, bo on mówił "Moja babuszka". I tak to się skończyło. Ruski oficer, zwykły, już teraz to być może taki już zruszczały, ale niemniej jakieś miał te jeszcze przebłyki tam z tego, tak że podejrzewam, że to był jakiś tam syn, czy wnuk jakiś tam babci, która była z Polski. Taki przypadek, cud.